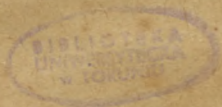


1394.  
*Lach*  
Kpt. FRANCISZEK WIELGÓT.

# Gawędy Żołnierskie



WARSZAWA — 1921  
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.



---

Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka” Warszawa, Moniuszki № 11.

---

586248

D. 3400/85.

## Od autora.

W gawędach tych znajdziesz, żołnierzu, urywki z życia i ze służby, żołnierskiej. Czytaj uważnie, a odszukasz w nich trochę swej duszy, albo częściej wskazówkę jakim masz być żołnierzem.

Gawędy były umieszczone w różnym czasie w „Wiarusie“, były wyrazem tych myśli, które, rodziły się, gdy patrzałem na ciebie, żołnierzu - szeregowy, czy to stojącego na warcie, czy jadącego w pole, czy idącego na patrol, lub strzelającego w boju, lub będącego na urlopie i gdy chciałem cię widzieć wzorowym żołnierzem.

*Autor.*



## Szeregowy na urlopie.

Urlop! Jakie to czarowne słowo, szczególnie dla szeregowego, który się jeszcze w służbie wojskowej nie rozsmakował, lub dla takiego, który w tej służbie znów za długo przebywa. Jednemu żołnierzowi tęskno za rodziną, za wioską, drugiemu za swoją kochaną dziewczyną. Inny znów chciałby się żołnierzem we wsi pokazać, może starszym został albo podoficerem, chciałby się pochwalić, do jakich to zaszczytów w służbie wojskowej doszedł. Innemu znów marzy się lepsze jedzenie, dobre wyspanie, swoboda, odpoczynek.

Słowem—bardzo wielu jest takich szeregowych, którzy to słowo „urlop“ z tęsknem westchnieniem wymawiają i których to słowo na słodkie marzenia nastraja.

I nieliczni są ci szczęśliwcy, którzy ten wymarzony urlop dostają. Bo służba wojskowa jest

twardą koniecznością. Szczególnie podczas wojny, gdy żołnierz jest potrzebny do walki, musi się szybko i pilnie uczyć, niema ani czasu ani warunków na przyjemności i odpoczynek.

Jakiż to żołnierz i kiedy może dostać urlop?

W mojej kompanji urlop można było dostać tylko jako nagrodę za wzorową służbę i za zasługi. Nasz dowódca pod tym względem był stanowczy i nieustępliwy. Znał też swoich żołnierzy jak własne palce, wiedział doskonale, co który wart i na co zasługuje. Znał również dobrze dzieje pułku w polu, gdzie która kompanja walczyła i jak się w boju zachowywała, to też żaden żołnierz, przybywający ze szpitala, nawet największy spryciarz i łazik nie potrafił dowódcy naciągnąć. Bywało, przyszedłeś ze szpitala do kadry, chciałbyś się dostać do domu, więc stajesz z prośbą o urlop i meldujesz.

— Panie kapitanie, szeregowiec Pakuła prosi o urlop dla odwiedzenia rodziny i odpoczynku.

— Co, urlop? — pyta kapitan i zaraz recytuje jak z nut: — Wstąpiliście do wojska w marcu, w końcu kwietnia przybyliście jako uzupełnienie do pułku pod Chyrów, po tygodniu odeszliście do szpitala i tam kurowaliście się dwa miesiące — razem cztery i pół miesiąca służby, z tego tydzień w polu, nie odsłużyliście jeszcze tych buków, które nosicie — i na zakończenie jak szabla ostro wyrąbał — urlopu nie dostaniecie.

A jeżeli który łązik wracał ze szpitala po wenerycznej chorobie i odważył się prosić o urlop, dostawał przy tej sposobności od dowódcy taki morał, że zupełnie tracił ochotę i do urlopu i do innych przyjemności. Innemu znów, który w wojsku służył z górą pół roku i na froncie był parę miesięcy i chciałby jechać z Chełma pod Kalisz i odwiedzić swoich krewnych, dowódca kompanii tłumaczy, że ciężkie czasy, wagonów i lokomotyw mało, węgla brak, pociągi muszą wozić wojska w pole, z pola — rannych, do Kalisza kawał drogi, naraża się państwo na wielkie koszty, a więc przyjemności zostawić na po wojnie.

Ale, gdy żołnierz służył już w wojsku conajmniej rok, przez kilka miesięcy był w polu, w kadrze wszelką służbę pełnił wzorowo, doskonale ćwiczył, nigdy nie był karany, to jako nagrodę urlop napewno dostał. Mógł też dostać po przybyciu ze szpitala po ciężkiej chorobie dla wypoczynku i nabrania sił do dalszej służby.

Również żadnego oberwańca dowódca kompanii na urlop nie puścił.

Przed odjazdem oglądał każdego na wszystkie strony. A oko miał, że dostrzegł najmniejszą dziurkę, plamę, pękniętą nitkę, każdy brakujący gwóźdź w podeszwie! Mundur, choćby bardzo stary, musiał być wyprany, połatany, poszowany, naprawiony. Często mawiał d-ca kompanii, że żołnierz na ulicy zawsze, a tembardziej na urlopie

we wsi lub miasteczku powinien się pokazać czysty i elegancki, bo to i dziewczyna na takiego milej spogląda i wszystkim przyjemniej popatrzeć; chodzi też i o wojsko, przecież ładny mundur już niejednego młodzieńca do wojska pociągnął.

A gdyś meldował dowódcy swój odjazd na urlop, obejrzał cię na wszystkie boki i pyta:

— Kiedy wam się urlop kończy?

— Trzeciego sierpnia, panie kapitanie!

— W takim razie macie się zameldować w kompanji swojemu drużynowemu lub podoficerowi dyżurnemu najpóźniej 3 sierpnia o godzinie 23 m. 50. A pamiętajcie, Szalas, że podczas urlopu ani ja, ani sierżant, ani wasz drużynowy nie będzie mógł patrzeć na was; reprezentujcie kompanję, zachowujcie się tak w drodze i u siebie, żeby się kompanja nie potrzebowała wstydić. Na kolejach stosować się do rozkazów służby kolejowej. Z jadącymi pasażerami, czy to kolegami, czy cywilnymi zachowywać się grzecznie, — na miejscu meldować władzom wojskowym, a gdy ich niema — cywilnym swoje przybycie i odjazd. W każdym kroku uważać na honor żołnierski. W razie jakiegoś w tym czasie osobistego nieszczęścia lub wypadku, które by opóźniły wam powrót, na przykład własna choroba, w drodze katastrofa kolejowa, natychmiast piśmieniem do kompanji meldować i brać piśmienne zaświadczenie o tym wypadku od miejscowych

władz. W razie choroby od władz rządowych  
od lekarza.

Na zakończenie zwykle powiadał:

— Powodzenia, wesołej zabawy!

Dostałeś, bracie, po długiej służbie i ciężkich trudach urlop, masz wszelkie papiery i dokumenty podróży w garści, serce radość rozpiera, że jutro będziesz wśród swoich najbliższych krewnych, a tu po ostatnich pożegnalnych morałach kapitana cisną się do głowy myśli, jakby przestroga: „trzymaj się krótko, żebyś po powrocie nie wpadł do paki, jak to się zdarzyło szer. Głowaczowi“.

A z tym Głowaczem było tak. Przyszedł do wojska jako poborowy w kwietniu. Był to chłopak urodzony na żołnierza. Silny, zgrabny, w nauce pojętny, w służbie gorliwy. Ćwiczył się najlepiej w kompanji, a jak miał służbę, to go się wszyscy bali jak samego sierżanta, nigdy nie był u lekarza, ani godziny nie złazikował, żadnej nawet nagany od naszego „piły“ drużynowego nie dostał, słowem żołnierz wzorowy.

Zawsze wesoły, ze służby zadowolony, ale miał jakiś smutek na sercu, tylko nie chciał pokazywać.

O swojej wsi zawsze rzewnie wspominał, a jak starzy żołnierze na urlopy odjeżdżali, Głowacz cicho wzdychał. Nic innego — tylko jakaś Jagna czy Maryśka musiała w jego sercu siedzieć.

Na front z kompanją nie poszedł, bo go przeznaczono do szkoły podoficerskiej. Po trzech miesiącach szkołę skończył i wrócił do kompanji jako starszy szeregowiec. Ogromnie spoważniał, a często wspominał: „żebym się to tak mógł teraz na wsi pokazać!” Służył już przeszło pół roku, ale nie miał odwagi prosić o urlop.

Przyszedł mu z pomocą przypadek.

Było strzelanie szkolne. Kapitan zapowiedział — kto wybiję 58 punktów, dostaje 10 dni urlopu. Głowacz wybił i urlop dostał. Z radości do góry podskakiwał. Co do Głowacza, kapitan był pewny, że nie tylko kompanję, ale całe wojsko polskie będzie godnie przedstawiał.

Po przyjeździe do wsi Głowacz poszedł się meldować do sołtysa, gdyż żadnych innych władz nie było. Sołtys się mocno zdziwił, bo przyjeżdżali na urlopy dawnymi czasy legjoniści i za polskich rządów żołnierze, ale żaden się nie meldował. Dopiero Głowacz sołtysa pouczył, że taki jest przepis wojskowy żeby się żołnierz po przybyciu do miejscowości meldował u miejscowych władz, ażeby wiedziano, że on tu jest na urlopie za dokumentami, a nie żaden łazik czy dezerter.

Sołtys odesłał go do gminy, ażeby już meldunek był gruntowny.

Chłopakom o wojsku opowiadał cuda. Dla zuchów tylko w wojsku żyć. Tylko oferma i niedołęga narzeka na wojsko. Tak swemi opowia-

daniami chłopaków do wojska zachęcił, że już zaczęli wdychać, czemu ich nie biorą. Starszym gospodarzom naopowiadał, ile to setek tysięcy wojska już Polska ma, jaka to jest potęga, jak to dlatego Polskę teraz wszyscy szanują.

A największa uciecha była dziewczuchom. Oj, zerkwały wszystkie na niego ślepkami, bo to chłopak był dorodny, zgrabny, a przytem grzeczny i dziwnie dla dziewczyn rzewny.

Wreszcie urlop się skończył i Głowacz w swoim czasie do kompanji wrócił. Melduje kapitanowi swój powrót. Kapitan dokumenty obejrzał, rozpytał się, co we wsi słyhać, jak urlop spędził, a w końcu pyta:

— Głowacz, co to tam na statku było z wami?

Porucznik czoło zmarszczył, w oczach błyskawice, Głowacz musiał coś zrobić. I rzeczywiście. Jadąc na urlop wraz z żołnierzami z innych oddziałów spotkali na statku żyda z owocami. Wydało im się, że owoce drogie, a żyd taniej sprzedać nie chciał, więc żyda za brodę i w kąt, a pakę z jabłkami do Wisły. Żydzi narobili gwałtu, gdzieś na przystani w Płocku znalazł się żandarm i nazwiska żołnierzy pozapisywał, potem protokół, który, wędrując po różnych kancelaryjach, doszedł i do naszej kompanji.

Teraz Głowaczowi żywy obraz tej awantury stanął przed oczami, zrozumiał, że się niepotrzebnie do niej wplątał.

A kapitan wyrębał:

— Za nieodpowiednie zachowanie się w drodze i narażenie na szwank honoru żołnierskiego dostajecie, Głowacz, dzień aresztu ścisłego—w tył zwrot, odmaszerować!

Tak się przytrafiło na urlopie dobremu żołnierzowi.

Ale bywa gorzej. Szeregowy, pozostawiony na urlopie sam sobie, często zapomina, że jest żołnierzem. Zapomina, że zawsze i wszędzie należy się cześć i szacunek przełożonym, że się należy władzom meldować, że munduru czy karabinu nie wolno dla osobistego interesu nadużywać, ani jak baby-płaczki na wojsko narzekać i jęczeć, że nie wolno ani o jedną godzinę swego powrotu opóźnić. Oczy wszystkich są zwrócone na żołnierza, bo swym umundurowaniem wyróżnia się od masy cywilnych. Po zachowaniu się jednego żołnierza, często ludzie sądzą o wartości jego kompanji, pułku, a nawet całego wojska. Żołnierz ma swój oddział i całe wojsko kochać i nie tylko nie narażać go na złą opinię, ale w obronie dobrej sławy oddziału własnego i całego wojska występować. Powinien mieć to głębokie przekonanie, że własny oddział jest najlepszy ze wszystkich, a wojsko polskie najlepsze na całym świecie i to przekonanie powinien wśród wszystkich szerzyć.

## II.

### Szeregowy na warcie.

Wiadomo wszystkim, że amatorów na cudzą własność i cudze mienie czyli, mówiąc krótko, złodziei i innych szkodników nigdzie nie brak.

Jakże się przed nimi bronić?

Ano prosta rada: żeby nam naszych rzeczy złodziej nie ukradł lub zły człowiek nie uszkodził, musimy ich pilnować. W małym gospodarstwie u siebie, jak zajdzie potrzeba, bierze się samemu do rąk kij lub inne narzędzie i pilnuje się. W fabryce, sklepie czy dużym gospodarstwie utrzymuje się do pilnowania stróżów.

W wojsku, dla ochrony majątku wojskowego i rzeczy rządowych, wyznacza się z oddziałów *warty*, które strzegą tych skarbowych rzeczy przez swych wartowników. A więc pilnują szeregowi podczas służby wartowniczej składów z żywnością lub muni-  
durami, magazynów z bronią i amunicją, koni, wo-

zów, węgla i t. p. Strzegą wejścia do obozu lub dozoriają aresztantów.

Nieraz opiece szeregowego powierzony jest majątek miljonowej wartości. Z tego wynika, jaka to jest ważna i niezmiernie odpowiedzialna służba wartownicza.

Już na całym świecie tak jest, że, jak tylko trzeba coś ważnego i cennego ustrzec, oddaje się to pod ochronę żołnierzowi. Takie jest wszędzie do żołnierza zaufanie. Gdy się już żołnierzowi odda coś pod opiekę, jest pewność, że taka rzecz nie zginie, że nie będzie uszkodzona, że zostanie dopilnowana.

Skąd to wielkie zaufanie do żołnierza, skąd ta pewność, że żołnierz najlepiej rzecz ustrzeże?

Przedewszystkiem szeregowy na warcie jest uzbrojony w karabin, a nie tak, jak stróż, który jedynie ma przy sobie kij albo nic zgoła. Tego karabinu to i złodziej często się boi. Przytem żołnierz karabinem dobrze włada, tego karabinu z rąk nie wypuści i w każdej chwili potrafi go dobrze użyć. Gdybyśmy ten sam karabin dali pierwszemu lepszemu stróżowi, nie byłby on taki straszny dla złodzieja jak żołnierz. Wystarczy spojrzeć na żołnierza, który stoi na posterunku: karabin na ramieniu albo w ręce w każdej chwili gotów do użycia, twarz surowa, oczy bystro patrzą dokoła i wszystko dostrzegają. Już zdaleka widać, że lepiej się bez

potrzeby do takiego wartownika nie zbliżać, bo to czasem może być i niebezpiecznie.

Dalej, żołnierz jest doskonale pouczony, jak się ma na posterunku zachowywać. Jest pewność, że żołnierz z posterunku bez rozkazu nie zejdzie, wciąż będzie bacznie czuwał, a w razie napadu w obronie powierzonej sobie rzeczy będzie walczył do ostatniego tchnienia.

W jakiż sposób ma się szeregowy zachować jako wartownik na posterunku, żeby swój obowiązek dobrze spełnić. Żołnierz, gdy jest w służbie na warcie, musi zapomnieć podczas jej pełnienia, że ma przyjaciół, krewnych nawet matkę i ojca. Wówczas jest oddany całkowicie tylko służbie, ma przed oczami tylko prawo i instrukcję i słucha swego komendanta lub oficera inspekcyjnego.

Naprzykład zdarzyło się, że stoisz w bramie koszarowej i masz instrukcję, że do godz. 18-ej nie wolno żadnego szeregowego bez przepustki wypuścić na ulicę, a po godzinie 21-ej masz wracających bez przepustek zatrzymywać. O godz. 13-ej twój kolega widzi, że stoisz przy bramie, chce się wymknąć na miasto i liczy na to, że go puścisz. Idzie—a ty go pytasz:

- Przepustka jest?
- Niema!
- W takim razie wróć!

I przyjaciel wraca jak zmyty.

Nie może ci ani słówka powiedzieć, bo w takim razie miałbyś prawo i obowiązek przedstawić go do ukarania.

Zdarzyło się raz w Zegrzu, że szereg. Bałtis stał na posterunku przy pralni obozowej i miał powiedziane w instrukcji, ażeby uważać na pracujące tam kobiety, żeby z pralni nie wnosiły rzeczy skarbowych.

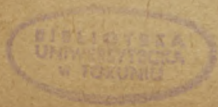
Baltis był znanym bałamutem w całym bataljonie i miał wśród praczek znajome. Widocznie jedna z nich, licząc na Baltisa, że podczas jego służby da się coś przemycić, ściągnęła prześcieradło i trochę bielizny. Tymczasem Baltis pannę przytrzymał i odstawił na wartownię. Co tam przy tej okazji panna do Baltisa mówiła, tego dokładnie nie wiem. Na śledztwie do winy się przyznała i powiedziała, że Baltis był jej dobrym znajomym, więc sądziła że jej nie przytrzyma, a Baltis nie tylko przytrzymał, ale jej powiedział, że znajomość, miłość, kochanie z jednej strony a służba z drugiej, że to są zupełnie różne rzeczy i w żaden sposób jedna z drugą pogodzić się nie dadzą. Miał jej podobno powiedzieć, że może dla niej prześcieradło kupić, ale ukraść jej nie pozwoli. Baltis pochodził z Litwy, służbę pojmował dobrze i żołnierz z niego był doskonały.

A widziałem raz w Chełmie taki wypadek. Stał szeregowy na posterunku przy bramie wejściowej do obozu i zdarzyło się, że w tej godzinie przy-

jechała do niego matka. Zobaczyła go zdaleka i, pędzi się z nim przywitać. Podchodzi, a szeregowiec powiada:— „Jestem, mamó, w tej chwili na posterunku i nie mogę się z wami ani witać, ani rozmawiać. Poczekajcie, za godzinę będę wolny“. I matka odeszła, usiadła na trawniku i zdaleka patrzyła na syna, dopóki służby nie skończył. Szeregowiec ten dobrze zrozumiał przepis, że nie wolno rozmawiać na posterunku.

W tym wypadku rozmowa możeby nikomu nie zaszkodziła, ale w każdym razie uchybiałaby służbie. A że wdający się w rozmowy posterunek nie może dobrze spełnić swych obowiązków,—nie potrzeba długo uzasadniać. Złodziej może zagadać go, a tymczasem drugi ukradnie własność skarbową.

W ubiegłym roku w listopadzie wypadły nagle straszne mrozy. Opowiadano mi, że w Lublinie jeden wartownik o mało, że nie zmarł na posterunku; odmroził nogi, uszy i ledwo się trzymał, gdy go zmieniono. Widać, że był to dobry żołnierz i dobrze rozumiał służbę wartowniczą. Głównym było zamarznąć, a z posterunku nie zszedł. Tak powinno być. Bo zrozumiała rzecz, że tylko wtedy upilnuje się powierzone mienie, kiedy się przy nim stoi i na nie patrzy. Dlatego też pod żadnym pozorem nie można zejść z posterunku bez rozkazu, nawet wówczas, gdyby się nagle zachorowało. Wtedy trzeba przez kogoś dać znać na wartownię. a nawet wolno ją strzałem zaalar-



mować. Naturalnie, może się to zdarzać rzadko, bo przecież na warty idą zdrowi ludzie.

Latem roku ubiegłego w Lublinie szpiedzy bolszewicy wysadzili magazyn z amunicją w powietrze. Jakim sposobem to się stało, nikt nie mógł powiedzieć, gdyż wartownik wyleciał razem z prochami i śladu z niego nie pozostało. Nic innego, tylko musiał zasnąć, a bolszewicy wtedy do prochowni podeszli, albo też słabo czuwał i źle uważał, tak, że go może podeszli zcicha i zamordowali.

Na każdym posterunku, a szczególnie w niebezpiecznym miejscu trzeba uważnie wciąż czuwać. Dlatego też nie wolno na posterunku ani usiąść, ani położyć się, ani palić papierosa, ani jeść, ani rozmawiać, ani zasnąć, ani dalej odchodzić, jak to przepisane instrukcją. Trzeba też dobrze sobie zapamiętać instrukcję dla swego posterunku, a przy odbieraniu służby dobrze obejrzeć wszystko, przy magazynach sprawdzić kłódki.

Oto co się raz zdarzyło szeregowcowi mojej kompanji. Stał pewnego dnia na posterunku przy magazynie zbożowym. W dzień w magazynie pracowano, przesypywano zboże, ładowano do worków. Na noc magazyn był zamykany. Szeregowiec, stojący przy tym magazynie, spostrzegł nad ranem, że kłódka jest otwarta. Zameldował to natychmiast po zmianie komendantowi warty; ten zapytuje wszystkie trzy zmiany, stojące na tym

posterunku, czy sprawdzali kłódkę przy obejmowaniu służby. Okazało się, że żaden nie sprawdził. A magazynier twierdził, że kłódkę zamknął i nawet więcej, że mu w magazynie brakuje zboża. Zaczyna się śledztwo. Wartownicy przysięgają, że pilnowali dobrze i złodziej nie mógł kłódki otworzyć, ale nic to nie pomogło. Wszyscy trzej zostali ukarani.

Skoro się stawia szeregowego na straży majątku skarbowego—daje mu się duży dowód zaufania, wymaga się też od niego wiernego i sumiennego spełniania obowiązku.

Ale też za najmniejsze uchybienie w tej tak ważnej służbie pociąga się szeregowego do bardzo surowej odpowiedzialności. Nietylko wtedy jest on surowo karany, kiedy nie upilnuje lub nie ochroni powierzonej rzeczy. Naprzykład polecono ci, pilnować magazynu z żywnością i magazyn okradli, albo pilnowałeś lub odprowadzałeś aresztanta i ten ci uciekł, lub strzegłeś mostu, a szpie-dzy nieprzyjacielscy most wysadzili lub podpalili, miałeś pilnować wejścia do obozu, ażeby niepo-wołane osoby tam nie wchodziły, lub żeby czegoś z obozu nie wynosiły, albo żeby szeregowi w godzi-nach zajęć bez przepustek nie wychodzili, a ty różnych przyjaciół i znajomych przepuszczasz. Za takie złe pełnienie służby dla każdego będzie zrozumiałe, jeżeli będziesz oddany pod sąd i pójdziesz do więzienia. Ale nawet za mniejsze niedokład-

ności lub wprost za nieodpowiednie się zachowanie będziesz ukarany.

Gdybyś bez rozkazu zeszedł z posterunku, gdybyś karabin z rąk wypuścił, gdybyś zasnął, usiadł, położył się, jadł, palił papierosa, rozmawiał lub podarunki przyjmował—zostałbyś natychmiast zaaresztowany i odstawiony do paki.

Możecie sobie teraz wyobrazić, jaka jest surowa kara, jeśliby szeregowy, postawiony na straży rzeczy skarbowych, sam się dopuścił jej kradzieży.

Pamiętam, że raz w Ostrowie zdarzył się taki, na pozór niewinny wypadek.

Miał posterunek za zadanie pilnowania ogrodu, ażeby nie obrywano warzyw i owoców. Nie mógł się powstrzymać, zerwał kilka truskawek i zjadł. Trzeba trafu, że to spostrzeżono i szeregowy ten został ukarany potrójnie: 1) zato, że zerwał czyli ukradł truskawki, 2) zato, że popełnił to przestępstwo podczas swej służby i po 3) że te truskawki podczas służby zjadł. Wszystko razem uczyniło przeszło tydzień aresztu ścisłego. Naturalnie, gdyby te truskawki zerwał i zjadł szeregowy, nie będący na służbie, dostałby napewno najwyżej jeden dzień dziury.

Szeregowy, któryby się podczas służby zaniebdał lub popełnił choćby najmniejsze przestępstwo, plami swój honor i hańbi swoje imię na zawsze, sprowadza również niesławę na swój oddział na swoją kompanję, i na swój pułk. Nietylko

jest zato surowo karany, ale traci u swoich przełożonych zaufanie i szacunek.

A przecież każdemu żołnierzowi jego honor, dobra własna sława i dobre własne imię, jak również dobra sława swego oddziału powinny leżeć głęboko na sercu.

Szeregowy, będący w służbie wartowniczej, ma nie tylko wielkie obowiązki i dużą odpowiedzialność, ale ma też jednocześnie duże prawa. Dość powiedzieć, że szeregowy-wartownik jest przełożonym wszystkich innych szeregowych, to znaczy — ma prawo rozkazywania im. Naprzykład: przywołuje wartownik przechodzącego żołnierza i mówi mu: — „biegnijcie natychmiast na wartownię i powiedzcie komendantowi, żeby do mnie przyszedł“. Szeregowy ten ma powiedzieć — „Rozkaz!“ i natychmiast pobiec na wartownię, bo gdyby tego nie zrobił, byłby ukarany za nieposłuszeństwo.

Ale nawet więcej. Szeregowego na posterunku w zakresie jego instrukcji muszą słuchać wszyscy: cywilni i wojskowi, szeregowcy, podoficerowie i oficerowie. Naprzykład: pilnujecie mostu. W instrukcji powiedziano, że nie wolno nikomu przez most przejść. Idzie generał! Co zrobicie? Zameldujecie:

— Panie generale, melduję, że przez most nie wolno przechodzić nikomu.

I generał musi usłuchać i zawrócić.

Albo stoicie przy magazynie z amunicją lub materiałami wybuchowymi. W instrukcji dla tego

posterunku powiedziano, że nie wolno w obrębie magazynu palić papierosów. Idzie oficer z zapalonym papierosem. Co zrobicie? Tak samo zameldujecie, że palić nie wolno. Naturalnie, oficer ten natychmiast zgasi papierosa. Ale gdyby się zdarzyło, że ten oficer (może to być szpieg przebrany) szedłby z papierosem dalej, co byście zrobili? Zawołalibyście: — Stój! bo strzele! Musiałby stanąć, bo każdy wie, że jeżeli posterunku nie usłucha się, ma on prawo zaaresztować, a nawet użyć broni.

A zdarzył się w mojej kompanii raz taki przypadek. Młody szeregowiec stał na posterunku przy bramie i jeden starszy szeregowiec z tej samej kompanii chciał się wydostać bez przepustki na ulicę, a posterunek go nie wypuścił, wtedy ten starszy szeregowiec zirytowany mówi: — „Poczekaj, rekruckie ucho: ja ci się odplacę!” Posterunek zameldował o tem dowódcy kompanii i starszy szeregowiec został ukarany dniem aresztu! Bo żołnierzowi w służbie nie wolno ubliżyć. Posterunek miał nawet prawo natychmiast zaaresztować starszego szeregowca, gdy mu ten ubliżył i odgrażał się! Szeregowemu, który w służbie wartowniczej spełnia gorliwie i podług danej instrukcji swe obowiązki, nikt nie ma prawa ani słówka uwagi powiedzieć, jest on bowiem osobą nietykalną. Szeregowy na warcie słucha tylko swego komendanta i oficera inspekcyjnego garnizonu.

### III.

## Szeregowy a karabin.

Każdy z nas dobrze wie, że od najmłodszych lat dziewczyna do lalki, a chłopak do karabinka najbardziej ciągnie. Takie jest zamięłowanie i pociąg u dzieci, z czego widać, że już sam Pan Bóg chłopakowi karabin przeznaczył. I niema wprost takiego żywego, tęgiego chłopaka, któryby nie wzdychał do pistoletu, karabinka lub szabelki. I niejeden taki chłopak oddałby pół duszy, żeby mieć prawdziwy karabin, z którego możnaby strzelać kulami. Wreszcie doczekałeś się tej radosnej chwili, że przychodzisz do wojska i karabin dostajesz. Każdy rekrut, który nie ma w sobie nic z babskiego usposobienia, a jest cały prawdziwy chłop, szczerze się cieszy, gdy otrzymuje karabin. Ale niejeden z was, młodzi towarzysze

broni, gdy odbierał z rąk drużynowego przeznaczony dla siebie karabin, nie oceniał należycie, jaki wielki skarb dostaje. Bo pomyślcie sobie, co byłby wart szeregowy bez karabinu? Przecież żołnierz jest po to, żeby bić nieprzyjaciela, gdy przyjdzie potrzeba. A czymże go będzie bił, czym będzie walczył, czy kijem, czy kamieniem, czy pięścią? Karabinem! Tak.

Szeregowy ma moc, ma siłę, jest straszny dla wroga, gdy ma karabin. Szeregowy i karabin to jedno. Nie można sobie wprost przedstawić szeregowego bez karabinu. Dostaje więc szeregowy karabin i uczy się nim władać, uczy się z niego strzelać, uczy się nim fechtować i, jak przyjdzie potrzeba, idzie żołnierz z karabinem w bój w obronie swej ziemi, swego narodu. Tym karabinem bije i zwycięża wroga, zdobywa dla siebie i dla całego wojska sławę. Dlatego też jest dla żołnierza karabin najpierwszym i najwierniejszym przyjacielem, nigdy nieodstępnym obrońcą. W wojsku karabin zastępuje szeregowemu matkę, żonę, siostrę, kochankę. Cała miłość i kochanie szeregowego spływa na karabin. Cieszy się on swym karabinem, jak skarbem najdroższym, pieści go, otacza troską i pielęgnuje. Tak na karabin patrzy dobry żołnierz.

Pamiętam, co mówił mój drużynowy do rekruta, gdy mu dawał karabin. Zapisywał numer karabinu do swej książki i mówił:

— Otóż, Bałandis, bierzcie w tej chwili ślub ze swym karabinem. Nie wolno wam się z tym karabinem rozstać bez rozkazu lub zezwolenia starszych. Macie swój karabin kochać i ochraniać, jak własną żonę, pielęgnować, jak własne dziecko. Wiedźcie, że gdy karabin swój skrzywdzicie, gdy mu nie dochowacie wierności, to i on was zdradzi.

Jakto? Ano, prosta rzecz.

Gdy rzucisz karabin lekkomyślnie, jak kawał drewna, to może się w karabinie coś popsuć i nie można będzie z niego strzelać. Jak nie będziesz karabinu czyścił i pielęgnował, to zarzewieje, zatnie się i również nie będzie strzelał. A cóż karabin wart, jeżeli nie można z niego strzelać albo jeżeli źle strzela.

Nasz Bałandis wziął sobie uwagę drużynowego głęboko do serca i rozkochał się w swoim karabinie. Szanował, pielęgnował, czyścił. Gdy tylko przyszedł z ćwiczeń, nie postawił na stojaku karabinu, dopóki dokładnie nie obejrzał, czy niema jakiej skazy. Gdy był zmoczony od deszczu, wytarł go suchą szmatką — tak samo, gdy był zakurzony. Zimą podczas mrozu poczekał chwilę, aż wystąpiły na karabin po zagrzaniu się krople rosy, dopiero szmatką wytarł. A wycierał zawsze leciuchno, szczególnie te ciemne, oksydowane części, żeby nie zetrzeć oksydowania, głównie chodziło mu o muszkę, bo gdyby była jasna, nie

możnaby dobrze celować. Codziennie przecierał lufę wyciorem z natłuszczoną szmatką, a raz na tydzień i po każdym strzelaniu gruntownie karabin wyczyścił; najpierw przewód lufy suchym kwaczem dopóty, dopóki kwacz nie wychodził z lufy zupełnie czysty, dopiero później przecierał lufę natłuszczonym kwaczem. Wszystkie wycięcia w komorach, w magazynie i w zamku powycierał szmatką, owiniętą na patyczek lub drzazgę. Zawsze po wyczyszczeniu wycierał karabin natłuszczoną szmatką; karabin był natłuszczony, ale nie dojrzałbyś gołym okiem tego smaru czy waseliny. Części drewniane werniksował, ale cienko, żeby prędko wyschły.

Po wyczyszczeniu Bałandis zwykle całą zapórę swego karabinu obwijał szmatką, żeby mu się nie zakurzyła, gdy karabin na stojaku stoi, bo w izbie kurz podnosi się zawsze. Ochraniacz był stale na lufie. Zdejmował go tylko wówczas, gdy czyścił karabin, ćwiczył w ładowaniu, w tylarjerze lub strzelał. Nigdy się nie zdarzyło Bałandisowi, żeby na ćwiczeniach polowych zasypał zamek lub lufę piachem albo ziemią, tak zawsze na swój karabin uważał. Ale też karabinek Bałandisa był jak cacko. Podczas przeglądu broni, porucznik zawsze brał ten karabin i pokazywał wszystkim, jak karabiny powinny być utrzymane i czyszczone. A Bałandis wówczas rósł i rad był, jakby na stu koniach siedział.

Mógł być pewnym swego karabinu Balandis zarówno na strzelnicy, jak i w boju. Pozostał wiernym towarzyszem, nie zdradził go nigdy.

Jednak ze smutkiem przyznać trzeba, że nie każdy szeregowy polski, tak się po przyjacielsku ze swym karabinem obchodzi. Niejeden przyniesie z ćwiczeń zamoczony karabin, postawi zaraz na stojaku, zapomni wytrzeć i karabin chwyta rdza, najstraszniejszy wróg karabinu. Zardzewiały karabin nie może sprawnie działać, zatnie się i prędko się niszczy. Inny znów taki zapuszczony karabin chce doprowadzić do czystości, więc bierze szmerglu albo na szmatkę piachu i szoruje jakby podłogę. Być może, że na chwilę karabin doczyści, ale jaki z tego pożytek? Taki karabin wygląda tak, jakbyć własną skórę zgrzebłem lub drucianą szczotką wyszorował. Podrapany, porysowany już nie da się nigdy do porządku doprowadzić, bo prędzej się brudzi i rdzewieje. Oksydowane ciemne części pościerane świecą się, przy celowaniu bije blask w oczy i w żaden sposób nie można celować dobrze. Inny znów ochraniacza na lufie nie ma, karabin bez uwagi gdzieś rzuci albo silnie oprze o ścianę, muszka skrzywi się albo całkiem straci i już karabin jest do niczego. Inny znów nie uważa na karabin przy ćwiczeniach polowych, przy padaniu, czołganiu się, lufę piachem zawali i może mu przy wystrzale karabin rozsadzić, albo zamek ziemią, piaskiem zasypie, zamek się

zownie i pozostajesz jakby bez broni. Dużo można dać przykładów tej niedbałości o karabin. A przecie najmniejsze opuszczenie karabinu, najmniejsza o niego niedbałość, powoduje psucie się karabinu. A karabin kosztuje dzisiaj grube pieniądze i przytem trudno go dostać. My jeszcze tylko własnych fabryk karabinów nie mamy, musimy te karabiny kupować u obcych i dobrze im za to płacić. I ten szeregowy, który nie dba o swój karabin, nie ochrania go, nie pielęgnuje i przez to naraża karabin na zepsucie, niszczy majątek skarbowy, nic więc dziwnego, że jest surowo karany nawet za najmniejsze zaniedbanie swego karabinu. Ale też taki szeregowy, który karabinu nie potrafi ochraniać, pielęgnować, w czystości utrzymać, który nie umie ocenić wartości karabinu, jest złym żołnierzem. Powie mi może niejednen, że w garnizonie można karabin utrzymać w takiej czystości, że jednej skazy na nim nie będzie, ale na froncie, w okopach, jest to niemożliwe. Są to wierutne bajki. Byłem przez dwa lata żołnierzem na froncie w ciągłych walkach i wiem, że tyle czasu, ile trzeba na utrzymanie karabinu w czystości, zawsze się znajdzie.

Powie więcej, że dobry szeregowy w polu swój karabin utrzymuje w takiej samej pieczołowitości, jak w garnizonie. Bo tylko w polu żołnierz pojmuje dobrze, czym jest dla niego karabin. Wyobraź sobie, że naraz wali na ciebie

dziesięciu nieprzyjaciół. Chcesz strzelać, a karabin ci odmawia posłuszeństwa, zaciął się i nie możesz otworzyć zamku, albo też zamek się nie domyka. Jeżeli masz granat, toś uratowany, inaczej przepadłeś. Gdyby karabin sprawnie działał, wystrzelałbyś ich połowę, a drugą rozbiłbyś granatem i bagnetem. W polu szeregowy pierwszą wolną chwilę poświęca swemu nieodstępnemu, wiernemu przyjacielowi — karabinowi. W swoim tornistrze może nie mieć koszuli ani konserwy, ale przyrządy do czyszczenia karabinu i waseline zawsze ma.

Bo karabin tak ci będzie służył, jak ty się z nim będziesz obchodził. I jeżeli karabin będzie otoczony ciągłą troską szeregowego i będzie w porządku utrzymany, taki karabin nigdy nie zawiedzie. Dobry szeregowy nie tylko w staraniu i czystości będzie utrzymywał karabin, ale postara się gruntownie go poznać: gdzie, przez kogo i kiedy został ten karabin skonstruowany, z jakich części się składa, do czego każda taka część służy i jakie spełnia zadanie. Co się dzieje w karabinie w chwili strzału. Wtedy szeregowy jeszcze lepiej zrozumie, dlaczego ten karabin jest taką straszną dla wroga bronią. Wtedy jeszcze lepiej pojmie moc i wartość karabinu, lepiej go oceni, bardziej pokocha i większą troską i pieczołowitością otoczy. W rękach żołnierza polskiego karabin jest wielką rzeczą. Karabinem żołnierz pol-

ski broni dostępu do kraju nieprzyjaciółom, łapczywym na naszą ziemię, na nasze bogactwa w kraju.

Tym karabinem żołnierz polski buduje Rzeczpospolitą, wytyka jej granice, zdobywa dla Niej szacunek i uznanie.

---

#### IV

### Szeregowy - strzelec.

Na strzelnicy kompanja strzela do tarczy pierścieniowej z figurą z za przedpiersia na 150 metrów. Jeden z szeregowych na stanowisku składa się do strzału, za nim w jednym rzędzie stoi czterech innych i oczekuje swojej kolejki; obok pisarz siedzi przy stoliku.

Padł strzał. Opadła tarcza i wysunęła się tabliczka z dwunastką. Słychać meldunek: — „Kapral Lasota, pierwszy strzał dwanaście“.

Drugi i trzeci strzał — dwunastki. Po czwartym strzale słychać jak Lasota mówi: — karabin drgnął mi w lewo, przepadła dwunastka. I rzeczywiście pokazują jedynastkę w lewo. Piąty strzał znów dwanaście. Po oddaniu pięciu strzałów, Lasota podchodzi do porucznika i melduje:

— Kapral Lasota melduje, że oddał pięć trafnych strzałów, wybił punktów 59, — warunki spełnił“.

— Bardzo dobrze! Nie chciałbym się dostać

w boju pod wasz karabin — odpowiada porucznik! Zameldujecie się później, Lasota, po papierosa! Uśmiechnięty i dumny wraca kapral Lasota na swoje miejsce. Niejeden z szeregowych wzdycha, żeby mu się to tak udało, jak kapr. Lasocie. Ale nie wszystkim tak poszło.

Szer. Sarnecki raz trafił w prawy górny brzeg tarczy, drugi raz w dolny lewy, a trzy razy chybił i melduje porucznikowi, że ma zły karabin.

— „A mnie się zdaje, że karabin jest dobry, tylko strzelec zły — odpowiada porucznik i przywołuje Lasotę, żeby wypróbował ten karabin. Lasota oddaje strzał z tego karabinu i wybija dwunastkę. W rękach dobrego strzelca, karabin jest dobry.

Kompanja jest na froncie i wystawia placówki. Kapral Lasota wraz z trzema ludźmi poszedł na przedpole na patrol. Jest jeszcze w pobliżu własnej placówki i spostrzega patrol bolszewicki z 8 ludzi, z których dwu idzie na przodzie o kilkadziesiąt kroków. Lasota zatrzymał swych ludzi w skrytym miejscu i rozkazuje: — „ja biorę na cel jednego z tych dwu, co idą na przodzie, wy celujcie w resztę, celownik zwykły, ogień pojedynczy!“ Rozległy się strzały. Bolszewicy rozproszyli się i wkrótce skryli się w pobliskim lesie, ale jeden z idących na przodzie padł trupem. Lasota kuli nie zmarnował. Miał sposobność na froncie kapral Lasota w oczach całej kompanji kilka razy popisać się

celnością swych strzałów. Jest to opowiadanie prawdziwe z życia jednej kompanji. Cieszył się w niej kapr. Lasota nadzwyczajnem uznaniem i wielkim podziwem i miał tytuł najlepszego strzelca w kompanji. I naprawdę może być dumny żołnierz, który otrzymuje nazwę dobrego strzelca. W niektórych wojskach dobry strzelec otrzymuje specjalną odznakę, żeby zarówno wojskowy, jak i cywilny mógł widzieć, że to jest żołnierz, który dobrze strzela. A cóż to znaczy dobrze strzelać? To znaczy strzelać tak, żeby zawsze w cel trafić, żeby ani razu nie chybić, żeby ani jednej kuli nie zmarnować. A dobre strzelanie jest niesłychanie ważną umiejętnością żołnierza.

Dlaczego dobre strzelanie jest taką ważną rzeczą?

Kto był na wojnie, lub kto widział dzisiejszy bój, ten wie, że w teraźniejszym boju walczą żołnierze przeważnie ogniem, to jest strzelając do siebie z pewnych odległości. Ta odległość może wynosić 800 metrów i więcej, może wynosić 600 metrów, 400, 200 a nawet 50 metrów. Wprawdzie wystrzelona z karabinu kula może lecieć kilka kilometrów, ale na taką dużą odległość nie możemy dostrzec celu, więc moglibyśmy strzelać tylko tak na „chybił—trafił”. A na to szkoda kuli!

Naprzykład niektóre cele, jak posuwającą się linię tyraljerską, możemy widzieć na tysiąc metrów i nawet dalej, ale na taką odległość trudno jest

nam celować. Wprawdzie i na tysiąc metrów a nawet i dalej mogą kule w posuwającą się tyraljerę trafiać, ranić i zabijać, ale nie wyrządzą one nieprzyjacielowi tyle szkody, co na odległości dwustu, trzystu lub czterystu metrów. Żołnierz, który zna potęgę ogniową swego karabinu, żołnierz dobry strzelec nigdy nie będzie strzelał na daleką odległość, bo na to szkoda kul; strzelanie na daleką odległość pozostawi karabinom maszynowym. Szczególnie w obronie dobry strzelec dopuści nieprzyjaciela na krótką metę. A dlaczego? Niechaj każdy rozważy taką rzecz! W jedną minutę można oddać z karabinu z całą pewnością 10 celnych strzałów, a w ciągu jednej minuty można przebiec niewiele więcej niż 150 metrów. Więc dobrzy strzelcy mogą śmiało dopuścić nieprzyjaciela na 450 metrów, bo na takiej odległości można celować i trafić nawet każdego leżącego żołnierza. Żeby przebiec 450 metrów, trzeba zużyć 3 minuty czasu, a przez trzy minuty można oddać 30 celnych strzałów. To znaczy, że gdyby na jednego strzelającego żołnierza szło nawet trzydziestu nieprzyjacielskich żołnierzy, to jeśli żołnierz jest pewny swego karabinu i jest dobrym strzelcem, może się z tego śmiać, może dopuścić nieprzyjaciela bez oddania jednego strzału na 400 metrów i później wszystkich trzydziestu, zanim do niego dojdą, wystrzelać, a gdyby któregoś chybił, to pozostaje mu jeszcze do użycia na najbliższą odległość granat ręczny,

a bagniet do walki wręcz. Ale przecież to się dzisiaj nie zdarza, żeby na jednego żołnierza szło trzydziestu przeciwników, żeby jedną kompanję atakowało aż trzydzieści kompanij nieprzyjacielskich. Najwyżej może się zdarzyć, że jedną kompanję broniącą się atakują cztery kompanje nieprzyjacielskie. Może atakować nawet 10. Macie więc na przykładzie przedstawione, że żołnierz umięjący dobrze strzelać, pewny swego karabinu i nieznający żadnego strachu może pobić kilkudziesięciu przeciwników.

Z tej wojny mamy dość takich przykładów. W wielkiej bitwie, jaką w lipcu 1916 r. stoczyły Legjony z Rosjanami pod Kołodziejami w dn. 4 lipca na odcinku 5-go i 7-go pułku Leg. nacierali Rosjanie dziesięciokrotną przewagą. Garstka legjonistów, ocalała od artyleryjskiego ognia huraganowego, dopuściła ich na bliską odległość może na 300 metrów i dopiero otworzyła piekielny ogień. Każdy legjonista spokojnie, z zimną krwią oddawał strzały. Jak ścięte kosą na łące kwiaty padały pierwsze linje moskiewskie, żeby się więcej nie podnieść, inne po trupach szły naprzód i dochodziły aż do drutów i tu padały od celnych naszych strzałów i od granatów ręcznych. Dalej już nie doszły liczne fale rosyjskie — jako trupy zasłały nasze przedpole. Wszystkie szturmy zostały zwycięsko odparte. Ale legjonista był takim żołnierzem, że się nie bał i pięćdziesięciu idących

na niego Rosjan. Wiedział, że ma w rękach karabin, wiernego swego towarzysza, wiedział, że każdy nabój potrafi dobrze zużyć. Ale też ten legjonista nawet na froncie, w godzinach wolnych od służby uczył się celować i do celu strzelać.

Byli też pomiędzy legjonistami tak świetni strzelcy, że kulami karabinowymi strącali siedzące na drzewach ptaki.

Jednak karabin ma tę wielką moc niszczy-  
cielską tylko w rękach świadomego żołnierza i dobrego strzelca; niejeden nasz stary wiarus pamięta i mógłby młodemu szeregowcowi opowiedzieć jak to w licznych atakach na Ukraińców czy na bolszewików, mimo silnego ich ognia karabinowego, nasze linje tyraljerskie szły naprzód i z małemi stratami dochodziły do pozycji nieprzyjacielskich i wyrzucały nieprzyjaciela. Często nasze linje dochodziły na czterysta metrów do stanowisk nieprzyjacielskich i nieprzyjaciel już je opuszczał i zmykał. Dlaczego tak się działo? Bo widocznie bolszewik czy Ukraińiec źle strzelał, nie celował, gorączkował się, niestaranie strzał oddawał, aby tylko wystrzelić; strzałów i huku dużo a szkody naszym wojskom żadnej. A że karabinu swego dobrze nie doceniał i stracha miał, to chociaż nasze linje jeszcze daleko były od jego stanowisk, on już zmykał. Zdarzało się też naszym wojskom, że nieraz wiele zmarnowały amunicji, a szkoda nieprzyjacielowi małą uczyniły.

Przed dwoma laty w marcu, przy odpieraniu ataku ukraińskiego, jeden nasz baon wystrzelił 36 tysięcy naboju, Ukraińcy się cofnęli, ale na naszym przedpolu pozostawili tylko dziesięć trupów. Być może mieli wielu rannych, których uprowadzili, ale mimo to, na tyle wystrzelonych naboju powinno być kilkaset trupów nieprzyjacielskich. Jest to dowód, że nasze oddziały strzelały źle. Mógłbym wam przytoczyć wiele przykładów z tej wojny, gdzie nasi żołnierze, tak brawurowo idący do ataku i biorący nieprzyjacielskie pozycje, nie potrafili ich obronić przed kontratakami nieprzyjacielskimi jedynie dlatego, że nie doceniali siły ogniowej swych karabinów, lub też słabo byli szkoleni w strzelaniu i marnowali tylko amunicję.

Już z tego, co powiedziałem powyżej, jasno widać, jak niezmiernie ważną rzeczą na wojnie jest dla szeregowego umiejętność dobrego strzelania i świadomość potęgi ogniowej własnego karabinu. Ale, żeby być dobrym strzelcem, trzeba w naukę strzelania włożyć dużo pracy, dużo zamięłowania i dużo cierpliwości. Jednak praca ta opłaca się sowicie. Jest później duży pożytek i duża przyjemność. Chociaż niełatwo jest zostać dobrym strzelcem, ale można nim być, gdy się chce. Przecież nieliczni są tacy szeregowi, którzy zanim przyszl do wojska, mieli już do czynienia z fuzją czy z inną palną bronią. Ci zwykle są dobrymi strzelcami, szczególnie jeżeli mieli zamięłowanie

do broni i pochodzą z okolic, gdzie można było polować. Jednak powiadam, że w wojsku każdy szeregowy ma możliwość zostać dobrym strzelcem. Trzeba tylko wszystkie ćwiczenia strzeleckie polubić i przerabiać je wszystkie z całą dokładnością i sumiennością jak to pokazują instruktorzy. Nikt odrazu nie został dobrym strzelcem. Na to potrzeba długiej nauki. Powoli należy się do tej sztuki zaprawiać. Trzeba ćwiczyć oko, palec do ściągania spustu, uczyć się obejmować szyjkę, spuszczać spokojnie, powoli cyngiel, długo i z całą cierpliwością uczyć się celować, przykładać karabin do ramienia wreszcie składać się w różnych pozycjach i oddawać strzał nabojem ćwiczebnym. To są ćwiczenia najważniejsze, wymagające dużo wysiłku, a jednocześnie wielkiej staranności i dokładności. Tu każdy szeregowy ma nie tylko uważnie przyjmować wszelkie wskazówki instruktora, ale uczyć musi się sam z całym zaparciem się i zamiłowaniem.

Jako dalsze ćwiczenie, niesłychanie miłe i przez szeregowych lubiane, przychodzi strzelanie szkolne na strzelnicy ostremi nabojami. Już przy pierwszym strzelaniu szkolnem zdaje szeregowy jakoby egzamin z tych wszystkich wskazówek, które otrzymał i z tych wszystkich ćwiczeń przygotowawczych, które przerobił. Widzi pierwszy rezultat swej pracy, widzi celowość wszystkich ćwiczeń poznaje swój karabin, ocenia swoje uzdolnienie

w tej nauce strzeleckiej. Po strzelaniu szkolnem uzupełnia swe braki i ćwiczy się dalej w tej sztuce. Strzelanie szkolne przerabia szeregowy w różnych pozycjach do różnych figur i na różnych odległościach dla zupełnego przygotowania się do strzelania w warunkach bojowych. Przy strzelaniu szkolnem na strzelnicy ćwiczy się szeregowy w praktycznem strzelaniu, wykazuje poczynione postępy w nauce. Przy usilnej, dokładnej i wytrwałej pracy te postępy w nauce strzelania muszą być i są. Szeregowy, który takie postępy wykaże, który umiejętność dobrego strzelania opanuje, ma sam duże zadowoleni i wielką przyjemność, a jednocześnie uzyskuje uznanie od swych przełożonych. Jeżeli taki szeregowy okaże w boju odwagę, męstwo, spokój,—to z najcięższej sytuacji wyjdzie zwycięsko, nie będzie napróżno marnował kosztownej amunicji a przyczyni się do wygrania niejednej bitwy, do uzyskania niejednego zwycięstwa.

V.

## Szeregowy podczas transportu.

Pewnego wieczoru rozeszła się po obozie wieść, że bataljon nasz wyjeżdża jutro na front. Radość wielka ogarnęła wszystkich, bo już dawno oczekiwaliśmy na ten odjazd. Szeregowi podnieceni ogromnie, nikt też już dobrze nie spał tej nocy. Już wczesnym rankiem byliśmy na nogach i gotowi do odmarszu na dworzec, ale najpierw pojechały wozy, kuchnie i karabiny maszynowe wraz z plutonem kompanji służbowej dla załadowania. W godzinę później ruszył do stacji cały bataljon ze śpiewem. Zatrzymano nas przy rampie kolejowej. Tabor już był załadowany. Kompanje już miały wyznaczone dla siebie wagony. Zanim wsiedliśmy do wagonów, oznajmiono nam, że po załadowaniu się nie wolno nam będzie z wagonów wychodzić bez rozkazu. Na tych stacjach, gdzie pociąg będzie stał dłużej, lub kiedy

będziemy mieli jeść, będzie dany trąbką sygnał do wysiadania. Również potem na wsiadanie będzie trąbiony sygnał. Następnie kompanje podzielono na tyle grup, ile dostała kompanja dla siebie wagonów i dla każdego wagonu wyznaczono komendanta. Każda grupa przed swym wagonem zdjęła ryszunek z siebie i każdy szeregowy, trzymając w ręku tornister i karabin, wsiadał do wagonu. W wagonie każdy wieszał ryszunek z karabinem na gwoździach i sadowił się na ławce. Jeszcze komendant wagonu przypomniał nam o zachowaniu się podczas jazdy pociągu. Wreszcie rozległy się gwizdki i pociąg ruszył, a jednocześnie popłynął potężny radosny śpiew żołnierski.

Pociąg mknął jak błyskawica. Mijaliśmy wieś, pola, lasy. Przejeżdżaliśmy wiele małych stacyj, na których tylko czasami pociąg na chwilę się zatrzymywał. Wreszcie po kilku godzinach jazdy stanęliśmy na dużej jakiejś stacji. Rozległa się nasza trąbka i wnet dobiega nas rozkaz, że pociąg zatrzymuje się na pół godziny i bataljon będzie jadł obiad. Wysiadać mamy na lewą stronę pociągu. Wyroiła się młoda wiara z pociągu jak pszczoły z ula i za chwilę ciągnę każda kompanja z menażkami do swej kuchni. Gwarno, wesoło. Po półgodzinnym postoju rozlega się trąbka i wszyscy żwawo wskakują do swych wagonów. Znow gwizdki, świst, śpiew, huk, stuk i jedziemy

dalej. I tak po półtoradziennej jeździe dojechalśmy na miejsce wszyscy co do jednego bez żadnego zajścia i przypadku. Wszystko poszło składnie, bo szeregowi stosowali się ściśle do rozkazów i przepisów jazdy.

Ale nie zawsze idzie tak składnie podczas transportu. Nieraz zdarzyło mi się widzieć taki transport, gdzie to na każdej stacji szeregowi wyskakują z wagonów, rozłazą się po dworcu, a później gonią ruszający pociąg, czepiają się w biegu; niejeden dostaje się pod koła, niejeden zostaje na dworcu bezradny, bez karabinu, bez rynsztunku, często nawet bez czapki. Czasami widzi się więcej takich łazików, którzy później nie wiedzą co robić, gdzie swego oddziału szukać, bo pociągi idą w różne strony, a nie zawsze szeregowi wiedzą, dokąd ich transport idzie. Nieraz znów widzi się jadący taki transport, gdzie szeregowi siedzą na schodkach, dachach, w otwartych drzwiach ze zwieszonymi nogami. A ile to już przez taką lekkomyślność i niestosowanie się do przepisów było nieszczęśliwych wypadków, ilu już szeregowych przez to naraziło się na kalectwo lub nawet utraciło życie. To znów inni przez nieostrożność z ogniem i papierosami w wagonach, gdzie były łatwopalne materiały, powodowali nieszczęśliwe wypadki, a przez to spowodowali opóźnienie się transportu, nieraz zatarasowanie drogi i powstrzymanie ruchu. A na kolejach zamieszanie przez

jedną godzinę stanowi wielką klęskę, szczególnie podczas działań wojennych.

Spotykałem też transporty, w których szeregowi widocznie młodzi, zupełnie niedoświadczeni i głupi, popisywali się strzelaniem z karabinów, a nawet rzucaniem granatów. To już nie tylko lekkomyślność, ale bezgraniczna głupota. Szeregowy który był choćby tylko w jednej bitwie, wolałby stracić chleb, buty czy inną rzecz, niż jeden nabój albo granat. Bo to są środki walki, bez których szeregowy w polu nic nie wart i których choćby chciał, to nawet za grube pieniądze nie dostanie.

A szczególnie Polskę amunicja drogo kosztuje i nawet jej dostać trudno. W dawnej Rosji, gdzie głupich i lekkomyślnych szeregowych było dużo, to, żeby zapobiec nieszczęśliwym wypadkom i marnowaniu amunicji przez niepotrzebne strzelanie, odbierano jadącym szeregowym karabiny, składano i zamykano je w osobnym wagonie. Ale przecież żołnierz polski potrafi zrozumieć, że naboje i granaty są przeznaczone na nieprzyjaciela, a nie do zabawy.

Widziałem też zimą takie transporty, w których szeregowi, chcąc się widocznie ogrzać podczas mrozu, rozpalali w wagonach ognisko i przepalali dno wagonu. Jest to również głupota, bo przecież w ten sposób nie ogrzeje się ani wagonu, ani żołnierzy, a naraża się państwo na szkodę, powodując często nieszczęśliwy wypadek. Takie

niewłaściwe zachowanie się żołnierzy w transportach kolejowych można przypisać jedynie temu, że może nie byli oni dokładnie pouczeni o zachowaniu się podczas jazdy, bo przecież żołnierz polski łatwo pojmuje, jaką to ważną komunikacją są koleje i że najmniejsze zamieszanie na kolejach, wynikłe z niewłaściwego zachowania się jadących transportów, może nieraz spowodować na froncie klęskę. Stąd prosty wniosek, że należy się ściśle stosować do rozkazów służby kolejowej i do przepisów i pouczeń, wydanych przez dowódców.

---

## VI.

### Szeregowy w marszu.

Było to w sierpniu 1915 roku. Poprzez całe ziemie polskie szła fala wojenna. Nie było takiego zakątka na ziemi polskiej, gdzieby nie doszedł odgłos walki. Wszystkimi drogami cofały się kolumny rosyjskie, a wślad za nimi, wprost deptając im po piętach i cisnąc, szły wojska pruskie i austriackie. W ten upalny dzień sierpniowy poprzez małe nasze miasteczko podlaskie przejechały ostatnie konne patrole kozackie, a tuż za nimi, uganiając się i strzelając, pędziły, jakby z obrazku starych książek wycięte, rogate oddziały jazdy. Jak iskra — przeszła po mieście wieść, że polskie wojsko ściga wroga. Miasteczko wyległo. Jazda znikła w pościgu za Moskalami. Ale zdaleka na piaszczystej drodze podnosiły się tumany kurzu i coraz bardziej zbliżały się ku miastu. I wkrótce zobaczyliśmy długą, szarą kolumnę pie-

choły. Już zdala słysząc było jakąś swojską melodję, a później dość wyraźnie wpadła mi do uszu zwrotka:

Hej, tam kule świszczą  
I bagnety błyszczą —  
Poświęcę się.

Nie było wątpliwości; polskie wojsko kroczyło po naszym bruku. Kolumna tonęła w obłokach kurzu. Młode twarze piechurów, mimo że były spotniałe i pokryte grubą warstwą pyłu, wyglądały dziarsko i wesoło. Kolumna maszerowała zwarcie, krokiem pewnym, miarowym. Naraz rozległa się krótka komenda. Kolumna stanęła jak wryta. Jeszcze padło kilka rozkazów, szeregowi złożyli w kozły broń i rozbiegli się po sklepach.

Wiedziony ciekawością, poszedłem do oficera rozpytać się o to pierwszy raz widziane wojsko. Dowiaduję się, że to wojsko polskie — Legjony. Walczą już rok z Moskałem. Ten oddział już od dziesięciu dni jest w pościgu za nieprzyjacielem w ciągłych marszach. Przez te dziesięć dni przeszedł z górą dwieście kilometrów i stoczył kilkanaście potyczek i kilka bitew. Bez wytchnienia pędzi wroga. Już niejedną wioskę ocalił od zniszczenia.

— Jakto—pytam—ci młodzi chłopcy w ciągu dziesięciu dni przeszli z górą dwieście kilometrów w ciągłych walkach, w takim strasznym upale i po

— takich strasznych, piaszczystych drogach? Skądże im tyle sił starczyło? To chyba tylko napoleońska gwardja mogłaby iść z nimi w zawody. Jakże oni dziarsko maszerują, jak wesoło wyglądają...

Tak—odpowiada mi oficer—ci żołnierze przeszli już dużo więcej, a sił dodaje im idea, za którą walczą—wolność ojczyzny, a zapału dodaje im wiara, że swym trudem Polsce wolność wywalczą.

Naraz rozlega się trąbka. Szeregowi szybko zbiegli się do broni. Rozmowa moja z oficerem przerwana. Padła komenda. Załamały się rzędy i znów kolumna maszeruje. Znów rozległy się śpiewy i podniosły się tumany kurzu; poszli żołnierze na dalsze trudy i znoje, na dalsze walki.

Przedstawiam ci przed oczy, młody żołnierzu polski, moje wspomnienie z przemarszu oddziału wojska polskiego przez moje miasteczko. Jest to jedno tylko wspomnienie i wrażenie z przemarszu.

Każdy stary wiarus, który nie w jednej bitwie proch wąchał, nie jeden miesiąc na wojnie spędził i wiele setek kilometrów własnymi nogami przemierzył, mógłby ci, młody towarzyszu broni, dużo ciekawych rzeczy o marszach opowiedzieć. Jakie to wielkie znaczenie mają marsze w działaniach wojennych. Jak to nie jeden raz oddział, dzięki wielkiej swojej sprawności marszowej, przyczyniał się do wygrania bitwy. Bo prawdą jest, że po wojnie, szczególnie w walkach ruchowych, żołnierze daleko więcej maszerują niżli walczą. Nie-

raz maszerują przez tydzień, a walczą jeden dzień. Często żołnierz przejdzie sto kilometrów, a wystrzeli 10 nabojów. I chociaż w dzisiejszej wojnie przez dalekie przestrzenie przewożeni są żołnierze kolejami, jednak prócz tego muszą jeszcze wiele maszerować. Kto walczył na wschodnim froncie, ten o tem dobrze wie. A niejeden legionista dobrze pamięta, że podczas wojny światowej żołnierze I brygady Legjonów przemierzali własnymi nogami ziemie polskie od Karpat aż po puszcę Białowieską, a później z pod Wysokiego Litewskiego przez Brześć Litewski, Kowel aż do Styru.

Żeby tym wielkim marszom podołać, muszą się szeregowi do marszu powoli zaprawiać, muszą się tego maszerowania uczyć. Bo *chodzić* byle kto może, ale *maszerować* potrafi tylko wojsko. A jest to rzecz niełatwa. Wojsko w pełnem uzbrojeniu wojennem, a więc z dużem obciążeniem musi w każdej porze i w każdym terenie dojść na czas tam, gdzie ma nakazane, choćby przyszło maszerować przez szereg dni w największym upale i kurzu po największym piachu lub kamieniach, w najulewniejszy deszcz i ziąb, po błotach i bagnach, w najsilniejszy mróz lub zawieje, po zaspach śnieżnych i wertepach. Żołnierz musi się zdobyć na największy wysiłek i musi umieć pokonać wszelkie trudy i wszelkie przeszkody w marszu. Bo tego wymaga wojna. Tego wymaga zwycięstwo na wojnie. Jeden z największych wojowników

świata, cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte, mówił, że jego żołnierze często wygrywali bitwy nogami. To znaczy, że potrafili przejść takie przestrzenie i pokonać takie trudy i przeszkody, o jakich nieprzyjaciół sądzą, że nie są do przejścia. A ci napoleońscy żołnierze z najrozmaitszych stron potrafili przemaszerować w to miejsce i w tym czasie, które im wódz naznaczył, i tą liczebną przewagą w jednym miejscu rozbijali wroga lub, przychodząc na czas walczącym oddziałom z pomocą, przechylali zwycięstwo na swoją stronę. Tak bywa na wojnie.

Już często po sposobie maszerowania można poznać siłę i wartość wojska. Niejeden z nas widział i pamięta, jak maszerowały kolumny piechoty niemieckiej. Zawsze zwarte, poważne i groźne, szły krokiem powolnym, miarowym i zawsze dochodziły tam, gdzie miały nakazane. A ktoś znów nie pamięta tych rozwlekłych bez końca kolumn austriackich, idących na wojnę, jakby dziady na Kalwarię lub do Częstochowy. Za tą łażącą kupą wlokły się same klęski.

A teraz przyjrzyjmy się naszej piechocie. Zobaczymy, jak się uczy maszerować i jak maszeruje polskie wojsko.

Przypomnij sobie, młody żołnierzu, że zaraz od pierwszych dni w kadrze, skoro cię tylko twój drużynowy wziął w swe ręce i zaczął gimnastykować, kazał ci kręcić stopą, skurczać, podnosić,

wyrzucać nogę, chodzić na tempa, wreszcie poje-  
dyńczo, dwójkami, czwórkami maszerować. To  
znów podczas marszu kroki długie stawiać, rów-  
nanie, tempo nakazane i odległość między czwór-  
kami trzymać. To znów podczas dłuższych mar-  
szów całą kompanją z kolumny nie wychodzić,  
jedną stroną drogi i zwarcie maszerować, podczas  
marszu śpiewać i t. d.

Może niejednen z was podczas takich cwi-  
czeń pomyślał sobie: „Poco oni mnie męczą, prze-  
cież ja chodzić umiem“. Tak. Chodzić umiesz.  
Również umie chodzić małe dziecko, dorosły czło-  
wiek i stary dziad. Ale jest pomiędzy ich cho-  
dzeniem różnica. Podobna różnica zachodzi po-  
między chodzeniem cywilnych ludzi, a maszero-  
waniem żołnierzy. Otóż jedne z tych wstępnych  
ćwiczeń zmierzają do tego, ażeby siłę nóg roz-  
winąć i wzmocnić; inne zmierzają do tego, żeby  
nabrać sprawności w maszerowaniu, żeby mniej-  
szym wysiłkiem, mniejszą liczbą kroków przejść  
większe przestrzenie. Znow utrzymywanie naka-  
zanych dystansów pomiędzy czwórkami, równanie,  
nie wychodzenie z kolumny zmierza do tego, że-  
by maszerującej kolumny nie rozciągać zbyt-  
nio, żeby utrzymać porządek w marszu, a przez to  
zwiększyć jego sprawność.

Bo wyobraźcie sobie, żołnierze, taką rzecz.  
Toczy się bitwa. Armaty grzmia, aż ziemia drży.  
Pewien pułk stoi w rezerwie we wsi. Na jednym

skrzydle walczących oddziałów, odległem o 20 kilometrów od pułku, nieprzyjaciel silnie napiera. Walczące tam oddziały z trudem mogą się jeszcze utrzymać przez kilka godzin. Pułk otrzymał rozkaz maszerowania na pomoc tym oddziałom. Dowódca się spodziewa, że pułk przejdzie tę przestrzeń już z odpoczynkiem za 6 godzin. Ale szeregowi pułku są słabo w maszerowaniu wyćwiczeni. Maszerują krótkim krokiem nie po 80 cm. a po 70 cm. czyli na każde 100 kroków zostają w tyle 10 metrów, to na 20 kilometrów marszu zostaną w tyle o  $2\frac{1}{2}$  kilometra, to znaczy opóźnią przyjscie o pół godziny. Maszerują wolnym krokiem nie po 114 kroków na minutę, ale po 100 i mniej, to znaczy, że po jednej godzinie marszu zostaną w tyle z górą o pół kilometra, czyli po kilku godzinach marszu opóźnią przyjscie na oznaczone miejsce blisko o godzinę. Pomiedzy czwórkami zamiast kroku odległości jest 3 kroki, to znów przedłuży kolumnę o tysiąc kroków, czyli opóźni marsz o 16 minut. To wszystko razem zebrane uczyni, że pułk swój przymarsz opóźni o 2 godziny. A wyobraźmy sobie jeszcze gorzej. Szeregowy ci nie idą w kolumnie, ale porozlazili się po całej drodze i prawie każdy z osobna, pochylony pod ciężarem tornistra, ciągnie w świat, jak dziady lub nabożne kompanje na odpust. Jeden drugiemu przeszkadza w marszu. Jedni szeregowi wyleźli z kolumny i zostali na drodze, bo im bu-

ty nogi obtarły, drudzy zrobili to samo, bo im się pić chciało. Innym znów wydało się, że są bardzo zmęczeni i odpoczywają na drodze, licząc, że ich wozy zabiorą. W rezultacie pułk nietylko się opóźnił, ale zmniejszył swoją siłę przez utratę wielu maruderów. Walczące oddziały, nie poparte na czas pomocą, uległy w walce — zostały rozbite. A jedna bitwa przegrana często powoduje dalsze klęski.

Naturalnie, że żaden pułk polski nie maszerowałby w podobny sposób. Szeregowy polski dla osiągnięcia zwycięstwa potrafi zdobyć się na największy trud i wysiłek. Pamiętam długie, forsowne i niezmiernie trudne marsze, jakie często zdarzały się w Legjonach. Ale zawsze oddziały Legjonów przychodziły na wskazane miejsce na czas i zawsze były zdolne do natychmiastowej walki, bo każdemu legjoniście głęboko leżała na sercu dobra sława Legjonów. Czy głodno, czy chłodno, czy upał, czy deszcz i błoto — maszerująca kolumna legjonowa zawsze była wesółą. Piosenki płynęły jedna za drugą jak w rzece woda, a jeżeli się śpiew skończył, zaczynały się sypać obficie różne dowcipne anegdotki. Często ofiarą tych dowcipów padał jakiś kolega, pocący się lub stękający, ale gdyby nawet takiemu słabszemu było zaproponować włożenie tornistra na wóz, uważałby to sobie za największą obrazę. Każdy legjonista uważał sobie za punkt honoru wytrzymać

choćby najforsowniejszy i najtrudniejszy marsz. Nie poddawał się ani zmęczeniu, ani bólowi; żeby zapomnieć o tych dokuczliwościach — śpiewał, gwizdał, dowcipkował i szedł dobrze. To też maruder w legionach podczas marszu był rzadkością.

I z obecnej polskiej wojny znaleźlibyśmy dość przykładów, kiedy to żołnierze polscy przechodzili długie, forsowne marsze po złych drogach i przychodzili na czas na nakazane miejsce w pełnej gotowości do boju, niespodziewanie spadali na wroga i rozbijali go w proch. Wystarczy wspomnieć marsze tych wszystkich dywizyj, które ściagały bolszewików po bitwie pod Warszawą; wtedy niektóre dywizje przechodziły po 50 klm. dziennie i więcej. Jak już powiedziałem, marsze są rzeczą niezmiernie trudną, wymagającą od żołnierza wielkiego wysiłku, a jednocześnie na wojnie są rzeczą niezmiernie ważną, często są codziennem działaniem wojska. Ażeby móc osiągnąć wielką sprawność marszową — musi być każdy żołnierz do marszu zaprawiony i musi ściśle przestrzegać wszelkich przepisów marszowych.

Przed każdym wymarszem należy opatrzyć buty, mundur, tornister, bo przy długich marszach najmniejsza szpilka, nitka, czy fałda staje się torturą. Nogi wymoczyć, tłuszczem nasmarować. Na dłuższych spoczynkach buty zdjąć, skarpetki czy onuce wysuszyć, nogi przewietrzyć. Przy wielkiem zmęczeniu i spoceniu na wilgotnej ziemi się nie

kłaść. Wodę pić tylko wtedy, gdy się dalej będzie zaraz maszerować. Najlepiej zaopatrzyć się w kawę w manierce i w cytrynę. Należy mieć ciągle na względzie zdrowie i zdolność do walki, żeby nie zachorować lub nie załazikować, bo każdy maruder osłabia nasze siły, a wzmacnia nieprzyjaciela.

Podczas marszu pod żadnym pozorem nie można z kolumny wychodzić lub jej opuszczać. Małe dolegliwości starać się znieść siłą woli. Zachowywać przepisane odległości, ażeby zbytnio kolumny nie przedłużać. Jaknajwięcej śpiewać, gwizdać, dowcipkować. Śpiew i dobry, wesół humor to najlepsze lekarstwo na zmęczenie i inne dolegliwości w marszu. Dobrze jest kupić sobie w kompanji za zbiorowe pieniądze harmonję. W marszu zastąpi ona orkiestrę, a na postojach jest również miłą rozrywką.

Tak ćwicząc się od początku gorliwie w maszerowaniu i zachowując się skrupulatnie według nakazanych przepisów marszowych, możemy osiągnąć takie wielkie uzdolnienie do marszu, że z łatwością będziemy pokonywali wszystkie jego trudy i w wszelkich warunkach zawsze i wszędzie dojdziemy na czas, a przez to przyczynimy się do niejednego zwycięstwa naszego wojska, przysporzymy mu nowej sławy.

---

VII.

## Szeregowy na kwaterze.

Niedawne to czasy i każdy je z nas dobrze pamięta, kiedy to nieprzeliczone wojska rosyjskie, niemieckie i austriackie przewalały się przez ziemie polskie.

Ilekroć razy oddziały tych wojsk przechodziły i zatrzymywały się przed naszymi wioskami lub miasteczkami, a ich kwatermistrze przebiegali pomiędzy chatami i domami, przeznaczając je na kwatery, zawsze po takiej wiosce lub miasteczku leciał strach i popłoch. Matki i siostry nasze zapędzały kury, kaczki i gęsi w najciemniejsze kąty obór lub chlewików, chowały w najszybsze miejsce słoninę, mąkę, kaszę i t. p. produkty. Małe dzieci nawet drżały i tuliły się po kątach lub za suknią matczyną. Zupełnie jak przed bandą złodziei, zbójów lub bandytów. Bo też żołnierze

ci nie ustępowali jedni drugim w rabunku, złodziejstwie i złem traktowaniu mieszkańców. Byli to żołdacy. Przychodził niejeden taki dżab na kwatere i zaczynał rozporządzać całym dobytkiem, jakby już w domu nikogo nie było. Wszędzie swój nos wsadzał i wąchał, gdzieby można coś ściągnąć. Niczego nie uszanował—jak nie ukradł, to zniszczył.

A występującej w obronie swej własności bezbronnej kobiecie albo mężczyźnie odgrażał się karabinem, a nieraz i poturbował. Najczęściej największy tchórz w bitwie był najstraszniejszym i najdzijszym wobec bezbronnej ludności. Takimi zawsze bywali kozacy. Ile to razy nie omłócone zboże stali koniom lub sobie na podściółkę. Ile to płotów, różnych narzędzi gospodarskich, a często i małych budowli spalili na ognisku jedynie dlatego, że im się drzewa urąbać nie chciało. Nie mówi się o tem, co nakradli! Najbardziej jednak wszyscy drżeli przed pruską pikelhaubą, bo też Prusacy najbrutalniej obchodzili się z ludnością, a umieli z niej wycisnąć wszystko, co się tylko dało. Ale i dziady austriackie nie lepsze były od swych kamratów.

Bici przez swoich przeciwników na polu walki, całą swą złość wywierali na bezbronnych ludziach. Ile to krzywdy narobili nieraz biednej polskiej ludności pobici w walce a rozwścieczeni „madziarzy“. A i „Czesi-pepiczki“, którzy w bit-

wie tylko ręce do góry podnosić a „poddawatsia“ umieli, na kwaterach udawali strasznych, szczególnie wobec kobiet.

Na te wszystkie nadużycia nie miała żadne rady bezbronna ludność i tych obcych żołdaków, zносиła na swych kwaterach jako ciężki dopust Boży. Prawda, że ich się okropnie bała, ale jednocześnie strasznie ich nienawidziła. Nikt też dobrze im nie życzył. A ileż to strasznych pomst nawet dobrym, spokojnym ludziom wyrwało się z ust, gdy ich kwaterujący żołnierze skrzywdzili. Nieraz słyszałem, jak kobieta wiejska pomstowała: „A bodajci moja kura, coś ją skradł, kością w brzuchu stanęła! A bodajesz z głodu w rowie konał, żeś ostatni kawałek chleba dziecka skradł! A niech was Bóg ciężko pokarze za naszą krzywdę!“ i t. d. i t. d. Ale na wszystko przychodzi swój czas, więc i kwaterujący żołnierze opuszczali wsie lub miasteczka i szli dalej, gdzie im było przeznaczone, a za nimi wlokły się pomsty i złorzeczenia skrzywdzonej ludności. I może nieraz niejedno złorzeczenie się spełniło!

A teraz pytanie — jak my, żołnierze polscy, zachowujemy się na kwaterach wobec ludności? Czy żołnierz polski ma iść za przykładem obcych żołdaków, czy ma być uważany przez ludność za takiego jak moskal lub prusak żołdaka? Przenigdy!

Szeregowy polski jest straszny tylko dla uzbrojonego przeciwnika. Wiadomo, że ludność,

zamieszkująca teren, na którym odbywają się działania wojenne, jest narażona przez same te działania na różne ciężary. Czyż przechodzący lub kwaterujący szeregowi swem niehumanitarnym postępowaniem mają tę ludność do reszty gnębić?

Tam na wschodzie, gdzie dzisiaj walczy żołnierz polski, ma on między innemi za zadanie uwalniać ludność z bolszewickiego i hajdamackiego ucisku. Niechże tak walczy i postępuje, żeby miejscowa ludność widziała naprawdę w wyprawie, a nawet więcej — niechaj widzi w nim swego obrońcę i doradcę, niechaj go potrzebuje, niech po jego odejściu dobrze go wspomina. W wojnie ruchowej na terenie wojennym prawie przez każdą wioskę lub miasteczko przechodzą lub zatrzymują się wojska. Zatrzymujemy się w nich na odpoczynek, zwykle po długich i męczących marszach, szczególnie jesienią i zimą.

Również — po długich i wyczerpujących walkach — przemęczone oddziały przechodzą na wypoczynek do wsi i miast poza linię bojową. Jak się ma zachować szeregowy na takich kwaterach ze względów wojskowych, o tem jest on pouczony przez swych dowódców.

Jak już wiecie, najpierw wysyła się do tej wsi czy miasteczka, w którym będziemy kwaterowali, z każdej kompanii kwatermistrzów, podoficera i szeregowca, a z bataljonu oficera.

Oni oglądają kwatery i przeznaczają rejony dla każdej kompanji. Każda kompanja musi się pomieścić w swym rejonie. Dowódca kompanji wyznaczy plac zbiórki i plac alarmowy dla swej kompanji. Najczęściej zimą szeregowi są rozmieszczani sekcjami po domach; jesienią lub wiosną — plutonami po stodołach lub innych większych zabudowaniach. Z każdą sekcją kwateruje się dowódca i on jest komendantem tej kwatery, a jeżeli gdzie jest mniej niż sekcja, to jeden z szeregowych jest komendantem, będąc odpowiedzialnym za podległych sobie szeregowców i porządek na kwaterze.

Karabiny muszą być w dobrym miejscu pod ręką umieszczone, tornistry spakowane i cały rynsztunek zawsze gotowy do włożenia.

Jeżeli kwaterują w jednej izbie z mieszkańcami — o sprawach wojskowych i o służbie szeregowi nic nie mówią — język za zębami, bo można przez gadulstwo lub nieostrożność w słowach zaszkodzić własnemu wojskom; trzeba pamiętać, że wszędzie szpieg może nadstawiać uszy. Pośród ludności, wrogo usposobionej, tem większą ostrożność trzeba zachować, a zawsze uważać, jeżeli się jest w pobliżu wroga, czy jakich sygnałów nie przesyła. Żadnej jednak ludności nie należy nigdy uciskać. Jeżeli niema ustępów koło domu, trzeba wykopać latrynę. Przy kwaterowaniu w stodołach nie należy w nich palić papierosów.

Poza rejon swej kompanji nie należy wychodzić. Każdy szeregowy musi wiedzieć o kwaterze swego dowódcy. Na sygnał alarmowy szybko się ubierać i stawać biegiem na placu alarmowym. Jeżeli na którejś kwaterze leżał chory stały jej mieszkaniiec, należy o tem zameldować swemu dowódcy, gdyż może to być choroba zaraźliwa.

Jeżeli dłużej stoimy na takich kwaterach—można sobie dobrze wypocząć. Szeregowy dostanie jedzenie zawsze w swoim czasie z własnej kuchni. A jeżeli chce się lepiej odżywić, ma zaoszczędzone z żołdu pieniądze, więc może sobie coś dokupić, a gosposi, w której domu kwateruje, poprosić, żeby to przysmażyła lub ugotowała. Ma czas, żeby bieliznę opatrzyć i wyprać lub też o wypranie poprosić kobiety. Czyści swoją broń lub ćwiczy się. Ma dość czasu, ażeby się przyrzec, jak ci ludzie gospodarują, jak żyją, opowiedzieć im, jak to Polacy gospodarują i rządzą się, czy pod Krakowem, czy pod Kaliszem lub Poznaniem. Niejeden zuch znajdzie czas i na gawędę z dziewczyną. Nasi dawni legjoniści umieli sobie zjednywać ludność ludność podczas postojów i kwater. Nikt na nich nie narzekał. A wesoło było w takiej wsi lub miasteczku, jak nigdy przedtem. Ile żalu było po ich odejździe!

Na Wołyniu i Polesiu nazywano legjonistów „panyczami” i „dobrymi ludmi”. Ludność tych miejscowości widziała w legjonistach dobrych,

szlachetnych ludzi. Bo też legjoniści podczas dłuższych postojów uczyli ciemną ludność ruską elementarnej dobrej gospodarki: młócki, orki, porządku domowego i innych podobnych rzeczy.

I dzisiejsi szeregowi polscy umieją się przeważnie na kwaterach zachować i potrafią sobie ludność zjednać. W lutym roku ubiegłego po walkach z Czechami, podczas chwilowego zawieszenia broni, 8 komp. 7 p. p. Leg. kwaterowała we wsi Nierodzimiu na Śląsku Cieszyńskim. Zima była ostra. Część ludzi pełniła służbę na placówkach, część kwaterowała we wsi po domach razem z ludnością. Po 2-tygodniowym postoju któregoś dnia [wczesnym rankiem niespodziewanie odmaszerowywała kompanja dla zajęcia Cieszyna. Prawie cała wieś odprowadzała kompanję kilka wiorst, a niektórzy pod sam Cieszyn. A ile się to słyszało dobrych słów i życzeń! Po dwu dniach przyjechała ze wsi do Cieszyna specjalna delegacja do kompanji, ażeby ją zaprosić na pożegnalną zabawę. Niestety, tego samego dnia bataljon odjeżdżał na front ukraiński pod Lwów. Jednak przez długi czas utrzymywali nierodzimiacy korespondencję z szeregowymi tej kompanji. Dopytywano się w tych listach prawie o każdego szeregowego, jakby to był ich najbliższy znajomy — tak swym zachowaniem się umieli zjednać sobie ludność szeregowi tej kompanji.

W kwietniu ub. roku na froncie ukraińskim 7 komp. 7 p. p. Leg. zajmowała wieś Ustjanowa pod Ustrzykami, wieś, zamieszkałą prawie przez samych Rusinów. Niepewnie i wrogo spoglądała pierwszego dnia na nas ludność, ale już po kilku dniach pobytu nastrój ten się zmienił. Nic we wsi nie zginęło, szeregowi zachowywali się wobec ludności grzecznie, za wszystko płacili \*). Wypadły święta wielkanocne. Ludność sama przyniosła do dowódcy kompani kilkaset jajek dla szeregowych, pieniędzy wziąć nie chciała. Szeregowi nasi też się honorem ujęli i pieniądze miejscowemu księdzu rusińskiemu ofiarowali na kościół. Zdarzyło się nawet, że do dowódcy tej kompani przychodziła ludność do rozsądzenia spraw i nieporozumień rodzinnych, mówiąc: „Wy nas, panie, sądzie, u was sprawiedliwość jest“.

Słyszałem, jak Rusini z tej wsi mówili: „żeby wszystkie polskie wojska były takie, jak wy „warszawiacy“, nam by wszystko jedno było, kto będzie panował. Ciężko nam jest z wojskiem, ale wolimy was niż innych”—mówili.

Zapamiętaj sobie, szeregowy polski, tę prawdę, że karabinem i szablą, że przemocą można pobić, zwyciężyć uzbrojonego przeciwnika, można zająć

---

\*) Pewnego razu szeregowi tej kompani musieli bronić ludności tej wsi przed nadużyciami szeregowych z innych oddziałów.

olbrzymie tereny i przyłączyć je do Polski, ale ludności tych zdobytych terenów i ziem ani karabinem, ani szablą, ani żadną przemocą dla naszej Ojczyzny zdobyć nie można. Serca ludzkie dla Polski można zdobywać tylko sercem.

W walkach na wschodzie bijesz, zwyciężasz bolszewików, zdobywasz coraz nowe obszary, wyzwalas z bolszewickiego ucisku ludność, niesiesz tej ludności wolność—postępuj więc z tą ludnością tak, aby wolność nie była w słowie, czy na sztandarze, ale w czynie, w całym życiu, staraj się swem zachowaniem się i postępowaniem zdobyć serca tej ludności dla Polski, ażeby twój krwawy trud wydał obfity plon. Niechaj do chwilowego uniesienia i podziwu dla twych zwycięstw i twej dzielności przybędą u ludności stałe uczucia szacunku i miłości; wtedy zdobędziesz dla Rzeczypospolitej nie tylko sławę i ziemię, ale cenniejszy skarb — przysporzysz jej obywateli.

## VIII.

### Szeregowy na patrolu.

Patrole — to oczy i uszy walczącej armji i jednocześnie pierwsza żywa jej tarcza obronna. Patrole, to prawie codzienna służba w polu—jego żołnierski chleb powszedni. Służba niezmiernie ważna, a jednocześnie pełna niebezpieczeństw i wielkich trudów. Trzeba zdobyć wiadomości o nieprzyjacielu, dowiedzieć się, gdzie jest, jakie miejscowości zajmuje, w jakiej sile i co poczyną, — zrobi to patrol wywiadowczy. Trzeba podejść pod stanowiska nieprzyjacielskie, zbadać je, jak są zbudowane i umocnione, którą drogą można się skrycie do nich zbliżyć, skąd można skutecznie je ostrzelać ogniem karabinów maszynowych; uczyni to patrol. Trzeba przed bitwą lub w czasie niej podkraść się pod stanowiska wroga, poprzecinać nożycami druty kolczaste lub pozrywać je granatami ręcznymi; znów użyjemy do te-

go patrolu. Poza tem będą patrole badały zarośla, lasy, doły, miejscowości, czy w nich nie kryje się nieprzyjaciół, chcący nas z ukrycia napaść lub ogniem razić. Prócz tego patrole będą ubezpieczać wojsko, będące w marszu lub na postoju albo walczące. Patrole działają wciąż — w dzień i w nocy, w największy mróz, ziąb, upał, deszcz i t. p. I otrzymują najróżnorodniejsze zadania do spełnienia. — Wymieniłem z nich tylko niektóre. Ta służba, pełna wielkich niebezpieczeństw i trudów, pociąga wielu szeregowych zuchów.

Wprawdzie służba ta wymaga niezwyklej odwagi, dużej przytomności umysłu, samodzielności, bystrości wzroku i umiejętności obserwacji, szybkiej orientacji, wielkiej karności i zdolności do poświęceń — słowem wszystkich najcenniejszych cnót żołnierskich.

Jednak szeregowi-zuchy lubią patrole. Są oddziały, w których nigdy nie brak ochotników do tej niebezpiecznej i ważnej służby. Niektóre oddziały mają świetnych patrolowców, którzy są ich prawdziwą chlubą. Jednak w wojsku polskiem każdy żołnierz powinien być ochotny i zdolny do dobrego wypełnienia tej ważnej służby polowej. Przyglądając się dobrze działalności patroli, można powiedzieć, że nieraz ta działalność decyduje o losie bitwy; sumienne i dobre wykonanie zadania przyczynia się do zwycięstwa, a nawet najmniejsze zaniedbanie powoduje klęskę. Po-

wiedziałem, że jest to trudna służba. Jednak niekoniecznie trzeba się dobrym patrolowcem urodzić. Jak wszystkiego w życiu, tak i sztuki patrolowania można się nauczyć. Trzeba uważnie słuchać opowiadań tych, którzy w tej służbie mają dużo doświadczenia.

W pogadankach o szeregowym na patrolu, postaram się przedstawić na przykładach, wziętych z praktyki polowej, te różnorodne zadania, jakie patrole otrzymują do spełnienia i sposoby wykonania tych zadań.

Oto przykład, jak należy działać na patrolu zwiadowczym, wysłanym na dalszą odległość.

Kompanja moja już drugi dzień stała w Zaturcach, ubezpieczając drogę w kierunku na Torczyn, skąd spodziewani byli bolszewicy. O godzinie 7-ej rano zostałem wezwany do dowódcy kompanji. Stawiłem się na rozkaz. Porucznik przywołał mnie do rozłożonej na stole mapy i trzymając na niej palce, mówi: — Patrzcie—sierżancie, tutaj mamy Zaturce, które zajmujemy, a tu jest miasteczko Torczyn, odległe o 9 kilometrów na wschód od Zaturzec. Dowiedziałem się od chłopą przybyłego z Torczyna, że wczoraj o godz. 21-ej pokazywały się pieszé oddziały bolszewickie. Przed naszymi placówkami w kierunku na Torczyn niema żadnych naszych oddziałów. Kompanja nasza pozostaje nadal w Zaturcach. Weźmiecie, sierżancie, 12 szeregowych z pierwszego plutonu

i pójdziecie z niemi, jako patrol zwiadowczy, do Torczyna. Dojdziecie tam i stwierdzicie, czy istotnie Torczyn zajęty przez bolszewików, w jakiej nieprzyjaciół jest siła i co robi. Pójdziecie przez Sierniczki, las Smogiłowski, a wróćcie przez Pożarkę. Spodziewam się waszego powrotu przed wieczorem. Pierwszy meldunek przysłecie z Sierniczek. Wyruszacie za 15 minut, to jest o godz. 7 i 20 m. Przejdziecie tam i z powrotem przez placówkę № 2. Uregulujcie swój zegarek podług mojego. Dla łatwiejszej orientacji w terenie weźcie sobie ten szkic; macie tam wyrysowane Zaturce — Torczyn, drogę do Torczyna, las Smogiłowski. Sierniczki, drogi leśne i polne!

Takie dostałem zadanie do wykonania i taką otrzymałem instrukcję.

Powtórzyłem tę instrukcję zaraz, ażeby się dowódca kompanii upewnił, że wszystko dobrze zrozumiałem. Przyjrzałem się jeszcze raz mapie, zabrałem szkic, uregulowałem zegarek i pożegnałem dowódcę. Po przyjsciu na swą kwaterę, wziąłem karabin i amunicję, sprawdziłem, czy mam ołówek i papier potrzebny mi do pisania meldunków, wziąłem kompas i poszedłem odwiedzić swych ludzi. Już stało gotowych 12 zuchów, w połowie ochotników, reszta wyznaczonych przez dowódcę plutonu. Sprawdziłem, czy mają zdrowe nogi i dobre buty, wszak mieliśmy przejść kawał drogi. Obejrzałem, karabiny i amunicję, kazałem

wziąć chleb i konserwy od furjera, gdyż na takim patrolu czasem nie można, a zawsze jest niebezpiecznie, szukać żywności. Wyzaczyłem swego zastępcę i objaśniłem szeregowcom, jakie mamy zadanie do spełnienia.

Naładowałem broń i ruszyłem w kierunku tej placówki, przez którą miałem przejść.

U dowódcy placówki poinformowałem się, jak daleko wysyłał swe patrole i co zaobserwował. Zorientowałem swych ludzi w terenie, pokazując im ręką kierunek, w którym leży Torczyn, drogę do niego, las Smożyłowski i Sierniczki. Omówiłem z patrolem znaki, jakimi miałem się porozumiewać pomiędzy szperaczami czołowymi i bocznymi.

Kilkakrotne podniesienie i opuszczenie ręki miało oznaczać, że droga wolna i ubezpieczona. Zataczanie kół czapką nad głową oznaczało, że spostrzeżono nieprzyjaciela. Teraz dopiero ruszyłem dalej. Zdawałem sobie sprawę, jak ważne, ale i trudne jednocześnie miałem zadanie. Odrywałem się ze swym patrolem daleko o kilka kilometrów od swej kompanji. W razie zetknięcia się z nieprzyjacielem, mogłem liczyć tylko na własne siły, na własny rozum i spryt — i na odwagę i spryt moich żołnierzy. Nie mogłem liczyć na niczyją pomoc. Trzeba więc wybrać taką drogę i tak iść, żeby się na przeciwnika nie natknąć. Do Torczyna muszę dojść. Dojdę niezauważony

wówczas, gdy będę szedł zakrytą drogą i przesuwiał się od osłony, do osłony, ale z drugiej strony sam muszę jak najwięcej widzieć, bo wszystko to, co zobaczę własnymi oczami, będzie najpewniejsze, przez obserwację najwięcej wiadomości zbiorę i najlepiej się zabezpieczę.

O kilometr od placówki ujrzałem lasek; skierowałem się do niego, ale, że niedawno przechodził tamtędy patrol z placówki, więc poszedłem szybko i pewnie, żeby nie tracić czasu. Przez lasek posuwałem się skrajem w kolumnie trójkowej, skąd miałem widok na drogę do Sierniczek; przed nami o kilkanaście metrów i z boku posuwało się po dwu szeregowców, jako ubezpieczenie. Wchodząc do lasku, nałożyliśmy bagnety, gdyż w lesie, taksamo jak i między zabudowaniami, najlepiej walczyć bagnetem w razie nagłego zetknięcia się z nieprzyjacielem.

Po przejściu lasku mieliśmy przed sobą cały szereg pagórków, tu i owdzie grupki drzew i krzaków, w dali widniała wieś Sierniczki.

Posuwaliśmy się ostrożnie od osłony do osłony. Sam z jednym szeregowcem szedłem prawie zawsze górnymi zboczami, skąd miałem rozległy widok na drogę z Zaturzec do Torczyna i na wieś. Reszta posuwała się dolnymi zboczami, wyzyskując teren tak, żeby ich od wsi nie widziano. Dwu szeregowców z patrolu stałe patrzyło na mnie, dwu przed siebie, dwu na boki, a dwu oglądało

się poza siebie. Na dobrym punkcie obserwacyjnym, gdzieś na pagórku za krzaczkiem zatrzymałem się na dłużej, ażeby uważniej przyjrzeć się okolicy; szeregowcy ukryci również obserwowali.

Przed wsią, na jakieś trzysta lub czterysta metrów od niej, w naszym kierunku stał pojedynczy dom z ogrodem. Zatrzymaliśmy się może o dwieście metrów przed nim. Wysłałem najpierw dwu szperaczy dla zbadania domu. Podeszli do ogrodu. Następnie jeden stanął przy drzwiach, a drugi wszedł do środka. Myśmy z ukrycia patrzeli na nich i na boki. Na znak podbiegliśmy jednym skokiem do budynku, patrol ukrył się w ogrodzie, skąd obserwował wieś, zanim ja zbadałem mieszkańców tego domu, od których dowiedziałem się, że wczoraj wieczorem przejeżdżało około 30 kawalerzystów bolszewickich. Następnie przyjrzałem się dobrze wylotowi wsi, ulicy i bokom i znów wysłałem dwu szperaczy na jej skraj. Kiedy mi szperacze dali znak, że można iść, szperacze poszli środkiem wsi a ja obszedłem wieś z boku i weszliśmy do niej z przeciwnej strony. Zatrzymałem patrol na wschodnim krańcu wsi, ażebym miał pole widzenia w kierunku nieprzyjaciela i żeby ze wsi w tamtą stronę nikt się nie ruszał. Zacząłem rozpytywać ludność o nieprzyjaciela i dowiedziałem się od chłopów, że w Torczynie jest piechota bolszewicka i 4 armaty. Zapytałem chłopów o drogę do Okorska i Bogumiłowa

i natychmiast skierowałem się na południe w kierunku tych wsi.

Zrobiłem to celowo, ażeby zmylić ludność co do dalszej mej drogi, bo niechby przyszli bolszewicy, napewno im ludność powie, ilu nas było i w którą stronę udaliśmy się. Zaraz za pierwszym wzgórzem zawróciłem na wschód, później na północ, obszedłem pod osłoną pagórków i lasu Sierniczki i wszedłem w las Smogiłowski. I tutaj napisałem tej treści meldunek:

Sierniczki dn. 24. 5. 19. godz. 10 m. 15.

Do

Dowódcy N-tej kompanii.

Sierniczki wolne od nieprzyjaciela. Dwu chłopów zgodnie zeznało, że w Torczynie jest piechota nieprzyjacielska i 4 armaty. Wczoraj wieczorem był w Sierniczkach konny podjazd bolszewicki, około 30 koni. Posuwam się w nakazane miejsce.

J. Sierżant.

Meldunek wysłałem przez dwu szeregowców, jednego z nich zrobiłem starszym. Pouczyłem ich o tem, komu mają meldunek wręczyć, którą drogą iść, zorjentowałem ich w terenie, zaznajomiłem ich z treścią meldunku, ażeby wiedzieli, co mają meldować dowódcy ustnie, gdyby byli zmuszeni zniszczyć piśmienny meldunek, w obawie,

ażeby nie wpadł w ręce przeciwnika na wypadek zetknięcia się z nim.

Po wysłaniu tego meldunku, ruszyliśmy wielkim Smogiłowskim lasem na Torczyn. Posuwaliśmy się jakiś czas leśną drogą, później zeszlismy w las. Będąc już w pobliżu Torczyna, naraz usłyszałem jakiś tętent i głosy z oddali.

Przyczailiśmy się wszyscy, patrząc i nasłuchując z wielkiem napięciem w kierunku odgłosów. Za chwilę spostrzegłem wychylającą się czwórkę, a za nią w niewielkiej odległości około 20 jeźdźców. Widać, że był to podjazd bolszewicki. Jechał dość pewnie, widocznie nie spodziewając się nikogo w lesie. Byliśmy w ukryciu, zupełnie nie dostrzegani przez nieprzyjaciela. Moglibyśmy ich z tej zasadzki napaść ogniem. Brała ogromna chęć i mnie i moich szeregowych do dania salwy do tych pohańców, ale w porę się powstrzymałem. Bo cóżbym na tem zyskał? Jeżeliby moi szeregowi pewnie i celnie strzelali, mogliby ustrzelić któregoś bolszewika, a reszta momentalnieby zniknęła, a może i ci postrzeleni zdążyliby uciec i zaalarmowali załogę Torczyna; nie mógłbym już skrycie pod miasteczko podejść i stwierdzić sił nieprzyjacielskich, a więc nie spełniłbym tego zadania, jakie miałem spełnić. To też przepuściliśmy bolszewików tuż pod nosem poza siebie, a sami ostrożnie posuwaliśmy się dalej. Wreszcie las skończył się i zo-

baczyliśmy Torczyn. Na północ od miasta w kierunku na Progonów i Zapust teren trochę falisty, ale odkryty.

Na drodze do Progonowa stoi obok krzyża wedeta. Za wedetą, jakieś czterysta metrów ku miastu u skrzyżowania tej drogi z drogą na Zapust, około karczmy, widać kilku poruszających się żołnierzy; widocznie placówka. Na wschód od tej placówki, na wzgórzach widać ludzi, robiących okopy. Od strony południowo-zachodniej las podchodził prawie pod samo miasto, dotykał do rzeczki Sierny i utworzonych przez nią dużych stawów; te stawy i rzeczka z tej strony zupełnie zabezpieczały miasto.

Podsunęliśmy się lasem aż pod same stawy i miasteczko. Tutaj spostrzegliśmy jedną wedetę nad brzegiem stawów, dużo wozów, stojących między zabudowaniami i około 20 kąpiących się bolszewików; sześć dymiących kuchen polowych, około których kręciło się trochę żołnierzy.

Widzieliśmy to wszystko jak na dłoni, mogliśmy wszystko liczyć. Znow nas brała chętka palnąć do tych nagusów i obżerających się kuchcików, tembardziej że i nam ślinka do ust mocno płynęła, bo było to już koło południa. Ale znow rozsądek wziął górę nad tą chętką.

Zaobserwowaliśmy już dużo, mieliśmy z czem wracać, ale chciałem koniecznie zobaczyć te armaty, o których mi opowiadali chłopci.

Posunęliśmy się więc lasem i wzdłuż rzeczki, jej zaroślami na południe, przeszliśmy rzeczkę wbród i znaleźliśmy się od południa, a później od południowo—wschodniej strony miasteczka. Pozwolił nam na to szczęśliwe przedostanie się teren trochę falisty, pełen grup drzew lub krzaków i zarośli. Ukryliśmy się w jednej takiej grupie i zaczęliśmy z tej strony patrzeć na miasto. Nie dostrzegliśmy żadnych wedet, ale zato zobaczyłem to, co chciałem. Na drodze z Torczyna do Rakowszyny, o jakieś pół kilometra na południowy wschód od miasta, stała grupa domów z ogrodami za niewielkim pagórkiem i tam się rozlokowała artylerja bolszewicka, — sześć armat i kilkanaście wozów amunicyjnych i innych. Po-  
stanowiłem czempnąć wracać, zdobyłem bowiem wiadomości sporo.

Zdaje się, że nie tylko mnie, ale i moim szeregowym serce mocniej teraz biło. Chcieliśmy jaknajprędzej dostać się do swoich.

Znów tą samą drogą, przez którą szliśmy niedawno, chcieliśmy się przedostać do lasu Smogiłowskiego. W chwili, gdyśmy z grupy krzaków chcieli przebiec przez drogę w kierunku rzeki, wychyliła się z pobliskiej kolonji banda bolszewików, która widocznie wracała z jakiegoś rabunku do miasta. Przyczailiśmy się i przywarli do ziemi; jednak gotowi do krwawego skoku, gdyby nas spostrzeżono, — potrafilibyśmy drogo

sprzedać swe życie. Ale banda przeszła, nie zwracając uwagi na krzaki, które nas kryły i wkrótce zniknęła w pierwszych zabudowaniach miasteczka. Prawdziwie szczęście nam sprzyjało. O parę sekund wcześniejszy ruch — a wpadlibyśmy w łapy bolszewików. Ruszyliśmy dalej. Przebiegają szperacze do następnych zarośli, już są na kilka czy kilkanaście kroków, a tu wylazi z tych zarośli straszny drab, „krasnyj“, brodaty gwardzista.

Jedna sekunda i zanim się kacap opamiętał, już nasze dwa zuchy trzymały go pazurami za gardło, że nie tylko krzyczeć, ale nawet pisnąć nie mógł. Poszedł Moskal w krzaki wcale nie za służbową potrzebą, tuż przy boku swoich sił dostał się w nasze ręce. Przestrzegaliśmy go, żeby się nie ważył puścić pary z ust, bo go zaraz wszystkimi bagnetami zmacamy. A my zdążyliśmy ze wszelkimi ostrożnościami, ale szybko do lasu Smogiłowskiego. W lesie odetchnęliśmy swobodniej, lecz posuwaliśmy się przyspieszonym tempem. Po przejściu dobrej połowy drogi od Torczyna, zatrzymałem się w lesie dla odpoczynku i posiłku. Od rana nie mieliśmy nic w ustach, a była już godzina 15-ta, ale tak każdy był przejęty swym zadaniem, że i głodu bardzo nie odczuwał. Dopiero teraz, podczas tego chwilowego postoju miałem możliwość wybać trochę jeńca.

I dowiedziałem się od niego, że w Torczynie stoi cały bataljon i bateria armat, że w Smo-

giłowie stoi szwadron jazdy, a w Progonowie i Zapuszcie małe oddziały piechoty, że jutro mają nadejść większe siły od Łucka.

Po chwilowym postoju ruszyliśmy dalej na kolonję Pożarkę, jak mieliśmy nakazane, wreszcie znaleźliśmy się w miejscu o jakieś 3 kilometry od Zaturzec, skąd widać było już tę wieś. Już teraz chcieliśmy jaknajprędzej dopaść do swoich. Naraz widzę z boku, zdaleka pędzących dwóch jeźdźców drogą od Ozierszczyń na Sierniczki; dałem znak, ludzie przycupnęli, jeźdźcy się zbliżyli; widzę — bolszewicy, przejeżdżają o jakieś czterysta kroków z boku nas. Nie namysławiając się, daję komendę:

— Na lewo przed nami dwaj nieprzyjacielscy jeźdźcy, celownik zwykły, ogień pojedynczy!

Sypnęły się strzały i jeden jeździec spadł z konia, a drugi w pełnym galopie wkrótce schował się za wzgórzem. Podbiegliśmy do trafionego jeźdźcy — był zabity. Szybko zabrałem ze wszystkich kieszeni różne papiery, zawiązałem w chusteczkę, ażeby co nie zginęło i ruszyliśmy prędko na Zaturce.

Czy dobrze zrobiłem, dając rozkaz strzelania do tych jeźdźców? Może należało ich przepuścić? Otóż, jak się później z zabranych papierów poległemu bolszewikowi okazało, ci dwaj jeźdźcy jechali z ważnym meldunkiem od podjazdu konnego zwiadowczego do Smogiłowa do szwadro-

nu. Takich gońców trzeba starać się zawsze zniszczyć. A następnie mogłem teraz śmiało strzelać, bo już byłem niedaleko własnych placówek, więc mogłem się zdradzić swemi strzałami, teraz nawet przed silniejszym przeciwnikiem mógłbym się skutecznie ostrzeliwać i cofać na swe placówki; zadanie już spełniłem, dwóch szeregowych mogłem śmiało posłać z jeńcem i wiadomościami, a na czele reszty walczyć, gdyby istotnie zaszła tego potrzeba.

O godzinie 17-tej byłem już w Zaturcach i meldowałem dowódcy swój powrót i składałem szczegółowy meldunek. Na odchodnym porucznik powiedział:

— Spełniliście, sierżancie, zadanie zupełnie dobrze, przynieśliście niezwykle cenne wiadomości, już jutro zobaczycie, jaki zrobimy z tych wiadomości użytek.

Pogłaskała mię przyjemnie po sercu ta pochwała, ale przecież nie dla niej spełniałem to trudne zadanie—to był mój żołnierski obowiązek. W godzinę później wezwał mnie do dowódca bataljonu i jemu też szczegółowo musiałem meldować to wszystko, co widziałem, pokazać na mapie drogę, którą szedłem, miejsce placówek, artylerji i o wszystkich podejściach pod miasto. Jako dalszy wynik mego zwiadu był wypad naszego bataljonu na Torczyn jeszcze tej samej nocy.

O godzinie 1-ej w nocy wymarsz z Zaturzec do Torczyna drogą mniej więcej tą samą, którą szedł patrol, a o godzinie 4-tej rano atak na Torczyn od południa i południo-wschodu, a więc od tyłu, od tej strony, od której nieprzyjaciół zupełnie się nie spodziewał. Zaskoczeni bolszewicy zostali rozbici, działa, karabiny maszynowe i wielu jeńców zdobyto.

Z tego przykładu widać, jakie wielkie znaczenie dla osiągnięcia zwycięstwa mają wiadomości o nieprzyjacielu. Najwięcej takich pewnych i ścisłych wiadomości, gdyż zdobytych przez własną obserwację — dostarczy patrol zwiadowczy. Nie zawsze i nie we wszystkich szczegółach patrol zwiadowczy będzie działał w wyżej opisany sposób. Każdy patrol stanie wobec innego zadania, w innej sytuacji bojowej i w innym terenie. Każdy dowódca patrolu musi się wykazać dużą samodzielnością w działaniu i umiejętnie przystosować się do każdorazowego położenia bojowego.

Są jednak pewne zasady, których zawsze musi się trzymać patrol wywiadowczy, wysłany na dalszą odległość:

a) Zawsze skrycie posuwać się od osłony do osłony, od punktu do punktu obserwacyjnego. Wszystko widzieć, a nie być widzianym;

b) stale obserwować;

c) nie zapomnieć ani na chwilę o zadaniu, jakie ma patrol wykonać, do spełnienia tego zadania za wszelką cenę dążyć;

a) unikać walki.

O znaczeniu i sposobie prowadzenia innych patroli opowiemy w następnej pogadance.

IX.

## Zwiady czat.

(Druga pogadanka).

W poprzedniej pogadance opowiedziałem o prowadzeniu i zachowaniu się na patrolu zwiadowczym, wysłanym na daleką odległość. Jednak na takie dalekie patrole zwiadowcze rzadko się chodzi. Częściej, niemal codziennie, chodzi się na innego rodzaju patrole, o których dzisiaj opowiem. Te patrole różnie się nazywają, bo różnorodne spełniają zadania.

Oto przykład. Zajęła nasza kompanja wieś. Na prawo od wsi, może o kilometr, na wzgórzu, jest druga kompanja, a prawie w takiej samej odległości na lewo, w lasku, — trzecia. Kompanja nasza otrzymała rozkaz obrania przed wsią stanowiska i wykopania rowów, ażeby skuteczniej odeprzeć bolszewików, gdyby podeszli i próbowali

nacierać. Zanim dowódca kompanji wyznaczy miejsca na kopanie rowów strzeleckich dla kompanji, lub miejsce dla placówek, najpierw wysyła małe patrole po 4 lub 6 ludzi w tym kierunku, skąd są spodziewani bolszewicy. Pocóż te patrole? Co one mają robić? Ot, na jakieś 500 metrów pod wsią pole gładkie, kto się na niem pokaże, może być łatwo spostrzeżony i zastrzelony; ale dalej, za polem na wprost, jest las, a na prawo wskos od wsi płynie rzeczka, której brzegi są porośnięte zarostami i drzewami, a na lewo wskos pagórki. Bolszewickie patrole zaroślami rzeki mogą podejść pod samą wieś, z lasu lub z pagórków mogą wszystko zobaczyć, co się przed wsią dzieje — mogą zobaczyć, w którym miejscu robimy okopy, a nawet mogłyby kopiących żołnierzy ostrzeliwać; mogłyby nawet cała kompanja lub bataljon do lasu wejść i my nie ujrzelibyśmy tego ze wsi. Ażeby się to nie stało, jeden patrol idzie brzegami rzeczki, aż na kilometr i dalej wprzód, drugi idzie do lasu, trzeci na wzgórze. Mają one nietylko przesłonić roboty naszej kompanji i niedopuszczyć do tego, ażeby bolszewickie patrole zaobserwowały, co się u nas dzieje, ale prócz tego mają one w porę ostrzec kompanję, gdyby większe siły bolszewickie zbliżały się do wsi, ażeby kompanja na czas zajęła okopy i przyjęła porządnym ogniem nieprzyjaciela. Każdy zaś zbliżający się patrol bolszewicki mają wciąż

nać w zasadzkę i złapać lub strzałami zniszczyć.

I na tych patrolach trzeba posuwać się, ażeby nie być spostrzeżonym, ale żeby samemu wszystko jaknajlepiej widzieć, a więc co trochę za osłoną zatrzymywać się i obserwować, ale tak bystro patrzeć, żeby naprzykład na 100 metrów las przeniknąć, lub w polu na taką odległość spostrzec poruszający się liść na krzaku. Na przedzie idzie dwu szperaczy, reszta tuż za nimi. Jedni patrzą wprost przed siebie, inni na obydwie boki i poza siebie. A każdy szeregowiec musi wiedzieć gdzie ma patrzeć.

Dowódca patrolu przy wyruszeniu daje to zadanie. Pomiędzy sobą porozumiewa się patrol znakami, lub szeptem. Przy wchodzeniu do zarośli, lub do lasu kładzie się bagnety na karabiny. W czystym polu, szczególnie w dzień słoneczne, bagnetów się nie nakłada, bo błyszczą i zdaleka można je spostrzec. Jeżeli się spostrzeże patrol bolszewicki, to trzeba przyciąć się, a jak podejdziesz bliżej—dać salwę i na bagnety; w lesie i w krzakach najlepiej odrazu wpaść bagnetem, choćby to był patrol dużo silniejszy, zdecydowanie i odważnie natrzeć; śmiały zawsze zwycięża. Zdecydowanemu i odważnemu zawsze dziesięciokrotnie sił przybywa.

W 1919 roku, w dniu 14 maja, kapral Stempień, z 7-ej komp. p. 7-go p. Leg., poszedł

z jedną sekcją na taki patrol do wsi Suszycy, odległej o niecały kilometr od naszych pozycji i natknął się na patrol nieprzyjacielski w sile 20 ludzi, który, ukryty za niskim płotkiem, zrobił na nasz patrol zasadzkę, podpuścił go może na 20 kroków i dał ognia, od którego padł, idący na przedzie, stary legjonista i świetny żołnierz, szeregowiec Jasiński. Kapral Stempień w tej samej sekundzie krzyknął „hurra” i wpadł z bagnetem ze swym oddziałem na wroga. Ten brawurowy ruch tak ich zaskoczył, że dali drała, ale nie wszyscy zdążyli uciec; kto nie uciekł, zginął pod naszymi bagnetami. O! widzicie skutek zdecydowanego i śmiałego natarcia w tak niekorzystnej sytuacji. Z tego również widzicie, że na takich patrolach prawie zawsze można się zetknąć z nieprzyjacielskimi patrolami, szczególnie, gdy nieprzyjaciel jest blisko. Na takim patrolu walki nie unika się, przeciwnie, małe patrole nieprzyjacielskie niszczy się, na większe patrole, nawet na całą kompanję napada się. Za nami blisko stoi kompanja, usłyszy strzały — przyjdzie nam z pomocą.

Na takie patrole chodzi się w dzień i w nocy. W nocy zawsze z bagnetem na karabinie. Posuwa się z wielką ostrożnością i w największej ciszy.

W nocy niewiele można widzieć, ale zato dużo można słyszeć, to też co parę kroków należy się zatrzymać i nadśłuchiwać. Z takich patroli, powraca się po odejściu do tego miejsca, do któ-

rego kazano dojść i idzie się tą drogą, która była wskazana. Meldunek składa się ustnie po powrocie dowódcy kompanji, lub temu dowódcy, który patrol wysłał. Tego rodzaju patrol należy do patroli ubezpieczających.

---

X.

## Zwiady w walce pozycyjnej.

Podczas wielkiej wojny światowej, zimą z roku 1915 na 1916, olbrzymie armje austriackie i niemieckie stały naprzeciw armij rosyjskich w okopach umocnionych i odrutowanych, przygotowując się do wiosennych zapasów. Przeciwko Rosjanom walczyły wówczas Legjony Polskie i zajmowały odcinek nad Styrem. Na północ od Legjonów, już na Polesiu, zajmowała pewien odcinek 11 Dyw. jazdy austriackiej. W okopach przez zimę stały II i III Bryg. Leg.; I Bryg. była w rezerwie. Legjoniści budowali okopy, ziemianki, odrutowali się, ale jednocześnie swemi patrolami płatali ciągle figle Moskałom. Znali rosyjskie pozycje tak dobrze, jak swoje własne, wiedzieli gdzie i jakie stoją armaty, miotacze bomb, karabiny maszynowe, wiedzieli jakie i w których miejscach prowadzą przejście przez rosyjskie druty, w któ-

rych miejscach Rosjanie biorą z kuchen jedzenie i gdzie się schodzą na modlitwę—słowem wszystko wiedzieli, a wszystkiego dowiedzieli się przez własne patrole. Jeśli czego takie patrole własnymi oczami nie mogły spostrzec, to łapały rosyjskie wedety i od nich się reszty dowiadywały. Już to Rosjanie na tym odcinku nigdy się dość bezpiecznie nie czuli i nigdy spokojnie nie spali. Przeklinali też „rogatych czortów“ wszystkimi przekleństwami, w jakie tylko rosyjski język jest bogaty. A legioniści wciąż wymyślali nowe fortele, ku swej uciechu, a na szkodę Rosjanom.

Inaczej działo się na odcinku 11 Dyw. jazdy austr. Okopały się i odrutowały Austriacy w lasach, ale o Rosjanach, stojących naprzeciwko nich, nic nie wiedzieli. Bały się Austriacy nos pokazać za własne okopy i druty. A przecież o nieprzyjacielu powinno się zawsze coś wiedzieć.

Dalej więc Austriacy o pomoc do Legjonów, ażeby im przysłać patrolowców. Chodziły więc na te patrole w styczniu i lutym i marcu najlepsze kompanie z 5-go i 7-go pułku Leg. Z 7 p. były kompanie pułk. Lisa-Kuli i kapt. Wilka-Wyrwińskiego, wówczas poruczników.

Zarówno stanowiska austriackie jak i rosyjskie były w lasach oddzielone od siebie bagnami lub b. mokremi łąkami, zimą zamarzniętymi. Szerokość tego przedpola miejscami wynosiła kilometr, miejscami dużo więcej.

Jak szły rosyjskie okopy, jak silnie były umocnione i obsadzone, Austriacy nic nie wiedzieli.

W dzień nie można się było dowiedzieć, bo ktoby się zbliżył po tem zamkniętem bagnie pod rosyjskie pozycje, tegoby Rosjanie zaraz spostrzegli i ustrzelili. Można było podejść tylko w nocy. Ale jak to wszystko w nocy zbadać? Ano podejść i złapać jakąś wedetę i od niej się dowiedzieć. Ale żeby to zrobić, trzeba wiedzieć, w którym miejscu te wedety stoją, trzeba te wedety najpierw wysledzić, a później podkraść się i łapać. To wszystko jednej nocy nie da się zrobić.

Zresztą wedety mogą miejsca zmieniać; w dobrem wojsku tak robią. Pozatem złapana wedeta wszystkiego prawdziwie nie powie. Widzicie, jaka to jest rzecz trudna. Legjoniści z łatwością na wszystko sobie znaleźli radę. Fantazji, zapалу i ochoty do takiej roboty nie zabrakło im nigdy.

Na patrole chodziliśmy tylko w nocy. Żeby się po lodzie nie ślizgać a po śniegu nie skrzypieć, owijaliśmy buty sianem i szczelnie bandażowali szmatami; żeby nas trudniej było na śniegu lub lodzie zauważyć, wkładaliśmy na mundur białe długie koszule. W ten sposób udawało nam się bardzo blisko podejść pod rosyjskie okopy.

W jaki sposób dowiadywaliśmy się, jak idą te okopy, gdzie są karabiny maszynowe, miotacze bomb, wedety i t. p.?

Wychodziło na pewien odcinek kilka patroli, zaopatrzonych w granaty karabinowe. Podchodziło pod okopy na odległość jakichś dwustu metrów i o pewnej umówionej godzinie i minucie, lub na sygnał wypuszczonych rakiet, rozpoczynało markowany atak, wypuszczając granaty karabinowe i strzelając ze zwykłych karabinów. Najwpierw odzywały się wedety rosyjskie; już po strzałach widzieliśmy, gdzie są, później pogotowie robiło alarm, budziła się obsada, wpadała do okopów i rozpoczynała piekielny ogień, odzywały się karabiny maszynowe, miotacze bomb, wreszcie artylerja, a myśmy leżeli przywarci do śniegu lub lodu — tylko wyznaczeni podoficerowie i oficerowie kreślili zarys okopów, oznaczali miejsca k. m. i miotaczy bomb. A głupi Rosjanie tłukli przez kilkanaście minut na nasz pożytek, a na własną szkodę.

Gdy ogień ustawał, myśmy zmykali do swoich. Później łowiliśmy i wedety. W dwa tygodnie wiedzieliśmy wszystko o Rosjanach tak dokładnie, jak przed własnymi pozycjami. Widzicie więc, że jeżeli nieprzyjacielskie stanowiska są ukryte tak, że je w dzień trudno lub wprost niemożliwie wysledzić, czyni się to przez patrole w nocy w podobny do wyżej opisanego sposób. Wiosną, latem lub jesienią łatwiej to zadanie wykonać, niż zimą.

Gdyby przeciwnik miał dobrych żołnierzy, trudność byłaby jeszcze większa.

## XI.

### Patrol w pościgu.

Ścigając cofającego się nieprzyjaciela, nasza jazda napotkała pod miasteczkiem W. na silny opór, którego sama złamać nie mogła. Znowu przyszła kolej na piechotę. Jazda złożyła meldunki, że nieprzyjaciel jest okopany i broni drogi do W. Kompanja moja zatrzymała się w lasku, przeszło na kilometr przed pozycją nieprzyjacielską. Atakować odrazu nie mogła, bo niewiadomo było, jak wielkie są siły nieprzyjacielskie, gdzie są jego skrzydła, czy przed okopami są druty, gdzie są karabiny maszynowe. Tak na ślepo nie można atakować, bo naraziłoby się kompanję na duże straty. Dowódca kompanji popatrzył przez lornetkę na teren w kierunku nieprzyjaciela i wysłał kaprała Z. z pięcioma szeregowcami, jako patrol. Ma on zbadać rzeczkę, płynącą na jakieś 400 me-

trów przed stanowiskami nieprzyjacielskimi; czy rzeczka da się przeskoczyć, czy w bród przejść, czy po kładkach. Również ma zbadać teren koło rzeki, czy nie jest zbyt bagnisty. Zaś plutonowy D. z sześcioma ludźmi idzie do lasku, leżącego w pobliżu pozycji bolszewickiej. Ma on wybadać, jak są obsadzone okopy, czy są odrutowane, gdzie są gniazda karabinów maszynowych, któredy najbliższej skrycie można podsunąć się pod okopy, skąd najlepiej będzie strzelać do nieprzyjaciela.

Niełatwe to są zadania, ale na obydwu patrolach znaleźli się ochotnicy.

Plutonowy D. doszedł do lasku i zetknął się tam z patroliem bolszewickim, który się szybko wycofał ku swoim pozycjom. Nasz patrol wysunął się z lasku, chcąc się bardziej zbliżyć ku stanowiskom, ażeby je lepiej zbadać. Nagle dostał się z odległości może 300—400 metrów pod straszny ogień karabinu maszynowego i karabinów zwykłych. Żołnierze padli na ziemię. Zdawało się, że cały patrol już martwy. Tymczasem tylko jeden został ranny, a reszta zdrowa, ale wszyscy zaryli się w bruzdy i fałdy pola i powoli poczęli się czołgać ku tyłowi. Gdy strzały trochę przycichły, patrol pojedynczo, krótkimi skokami, wycofał się do lasku. Karabin maszynowy próbował go ostrzeliwać, ale wnet przestał, gdyż trudno było z k. m. strzelać do pojedynczych ludzi. Mimo to gorąco było od ognia karabinów zwykłych. Będąc

już w lasku, nasz patrol „gwizdał“ sobie ze strzałów bolszewickich. Plutonowy D. wlaź jeszcze na drzewo i do reszty dokładnie wybadał pozycję nieprzyjacielską. Wrócił z jednym rannym szeregowcem, przynosząc bardzo cenne wiadomości o terenie i stanowiskach nieprzyjacielskich.

Również dobrze poszło kapralowi Z. Doszedł do rzeczki, zupełnie nie ostrzeliwany przez nieprzyjaciela, widocznie chciano go przepuścić spokojnie za rzeczkę i dopiero tam zniszczyć. Kapral Z. przeczuł ten podstęp i nie przechodząc rzeczki, przyjrzał się dobrze stanowiskom nieprzyjacielskim, poczem ze swymi szeregowcami skoczył do rzeki. Dwu z nich, umiejących pływać, weszło w środek: woda sięgała im wyżej pasa, a oni posuwali się środkiem rzeki wzdłuż biegu, chcąc tym sposobem na długiej przestrzeni zbadać stan wody i wyszukać płytkie miejsca do przejścia, gdyż rzeki przeskoczyć się nieda, a kładek nie było; zresztą w takiej bliskości przeciwnika pod jego ogniem trudno inaczej rzekę, niż wpław, przechodzić. Reszta patrolu posuwała się korytem rzeki wzdłuż brzegu. Bolszewicy zaczęli teraz ostrzeliwać patrol, ale bezskutecznie. Po zbadaniu rzeki, mimo dużego ognia, patrol wrócił bez strat.

Nie wszystkim patrolom tak dobrze pójdzie. Często są one narażone na ciężkie straty. Czasem trzeba podejść pod same druty nieprzyjacielskie,

poprzecinać je lub granatami albo materiałem wybuchowym wysadzić w powietrze. W terenie zakrytym, na przykład w lesie, przed linią tyraljerską pójda patrole bojowe po dwu lub trzech ludzi przed każdym półplutonem; one najpierw zetkną się z nieprzyjacielem, ściagną na siebie pierwszy ogień, ale osłonią posuwającą się za niemi linię.

Podczas walki będą wysłane patrole na skrzydła, ażeby z boków ubezpieczać walczącą linię. Będą musiały powstrzymać pierwszy napór, gdyby nieprzyjaciół próbował nas oskrzydlać.

Podczas marszów patrole będą wysłane wprzód dla patrolowania i badania terenu i miejscowości, położonych wzdłuż drogi. To znów z boku będą ubezpieczały maszerujący oddział, ażeby go z tych stron nagle nie napadnięto lub ogniem nie ostrzelano.

Podczas postojów ubezpieczonych patrole będą wysyłane z placówek dla patrolowania przedpola i ubezpieczania w ten sposób oddziału. Przy zajmowaniu stanowisk obronnych patrole będzie się czasami wysyłać daleko, na kilka kilometrów w kierunku zbliżającego się przeciwnika; będą one zajmować dogodne punkty obserwacyjne i z nich obserwować jego ruchy i meldować o jego zbliżaniu się. Czasem taki patrol obserwacyjny, ukryty na dobrym punkcie obserwacyjnym, przepuści mimo siebie pierwsze oddziały, ażeby lepiej

wybadać siły przeciwnika i później skrycie z temi wiadomościami przedostanie się do swoich.

Czasami będzie się wysyłać patrole dla robienia zasadzek na patrole nieprzyjacielskie, ażeby je złapać i dostać języka, albo robić napady na nieprzyjacielskie wedety.

Tyle różnorodnych zadań przypada do spełnienia patrolom, że wprost trudno je wszystkie wyliczyć. Wszystkie te zadania będą niezmiernie ważne, piękne, a jednocześnie trudne. Jednak wszystkie dadzą się wykonać, gdy się chce, gdy się ma odwagę.

Prócz tej odwagi trzeba dużo przytomności umysłu, dużo samodzielności, ale wszystkie te cnoty i zalety żołnierskie dadzą się rozwinąć, gdy się ma silną wolę, poczucie obowiązku i serce gorące.

Być dobrym patrolowcem — to wielki zaszczyt. Na patrolach jest duże pole do odznaczeń, do sławy żołnierskiej. W jednej z pogadanek powiedziałem, że nikt się nie urodził dobrym patrolowcem, a zrobił się nim przez duże doświadczenie i dużą praktykę. Będąc w polu, nabywamy tego doświadczenia i praktyki. Jednak, będąc w szkołach i bataljonach zapasowych, można i trzeba się tej sztuki pilnie uczyć. Pierwsza rzecz — nauczyć się patrzeć na teren, poznawać teren, orjentować się w terenie. Druga

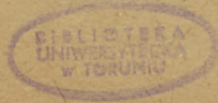
rzecz — nauczyć się obserwować w terenie, do-  
strzegać wszystko. Trzecia rzecz — umieć posuwać  
się skrycie w terenie, wyzyskać wszelkie osłony.

Wreszcie nauczyć się szybko decydować  
w działaniu. Tych rzeczy można się uczyć w gar-  
nizonie. Odwaga, samodzielność wyrobią się  
w polu — w walce.

Biblioteka Główna UMK

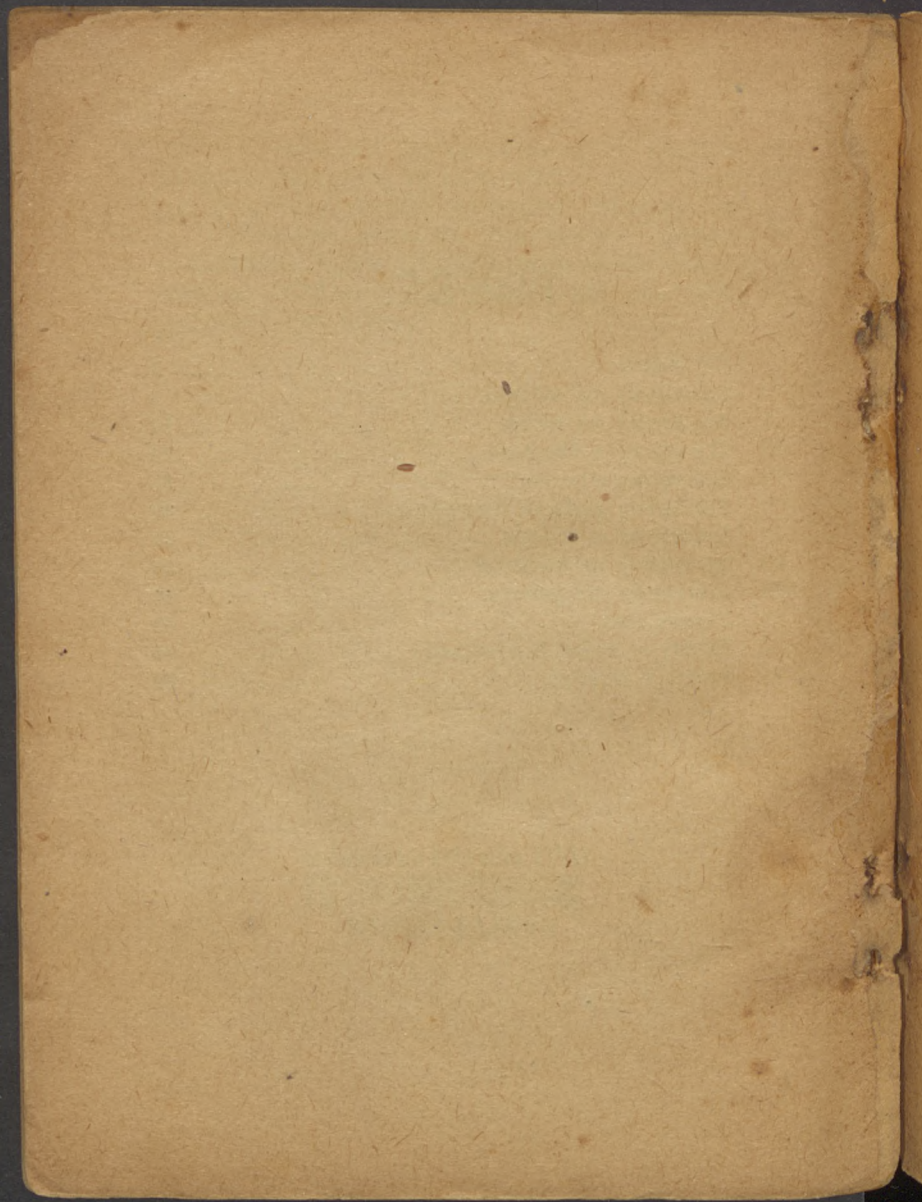


300051534810



## TREŚĆ.

|                                           | <i>Str.</i> |
|-------------------------------------------|-------------|
| Od autora . . . . .                       | 3           |
| I. Szeregowy na urlopie. . . . .          | 5           |
| II. Szeregowy na warcie . . . . .         | 13          |
| III. Szeregowy a karabin . . . . .        | 23          |
| IV. Szeregowy-strzelec . . . . .          | 31          |
| V. Szeregowy podczas transportu . . . . . | 40          |
| VI. Szeregowy w marszu . . . . .          | 45          |
| VII. Szeregowy na kwaterze . . . . .      | 55          |
| VIII. Szeregowy na patrolu. . . . .       | 64          |
| IX. Zwiady czat. . . . .                  | 80          |
| X. Zwiady w walce pozycyjnej. . . . .     | 85          |
| XI. Patrol w pościgu. . . . .             | 89          |





47  
20

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

586248

4080  
259  
63  
44

Biblioteka Główna UMK



300051534810

7.397

47  
205

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

586248

4080

259

63

4397

